

**KAROL MAY**

# **TRAPER SEPI DZIÓB**

**SCAN-DAL**

## CUDACZNY LORD

Małe, zwinne czółno posuwało się po falach i wkrótce przybyło do lądu. Rzekomo ranny mruknął zadowolony:

— Nareszcie! Ależ durnie, ci Anglicy! Nawet na pustkowiu nie rozstają się z cylindrem. Do diabła! Co to za długi nochal!?

Sępi Dziób wysiadł z czółna, pozostawiwszy w nim obu wioślarzy i zbliżył się powoli do leżącego na ziemi Meksykanina. Poleciał wioślarzom natychmiast uciekać, gdyby zdarzyło się coś nieoczekiwanego.

Meksykanin usiłował podnieść się na łokciu.

— Och, senior, jak ja cierpię! — jęknął.

Sępi Dziób zsunął binokle na koniec nosa, obejrzał leżącego spode łba, dotknął go ostrożnie parasolem i rzekł skrzekliwym głosem:

— Cierpi? Where? Boli?

— Jeszcze jak!

— Miserable! Bardzo miserable! Jak się master nazywa?

— Ja?

— Tak.

— Federico.

— Kim jesteś?

— Vaquero.

— Goniec od Juareza?

— Tak.

— Jakie wiadomości?

Meksykanin skrzywił się i znowu jęknął, jak gdyby przeszył go straszliwy ból.

Tymczasem Sępi Dziób rozglądał się uważnie. W pobliżu nie ujrzał żadnych śladów. Także i na skraju lasu nie dostrzegł nic podejrzanego.

— Czy to pan jest lordem Drydenem?

— Tak. Co masz mi do powiedzenia?

— Juarez jest w drodze. Kazał pana prosić, aby się senior w tym miejscu zatrzymał i oczekiwał go.

— Ach! Wonderfull! Gdzie on jest?

— Przypłynie rzeką.

— Skąd?

— Z Paso del Norte. Wyruszył stamtąd przed dwoma tygodniami. Szybciej nie można przebyć takiej odległości.

— Doskonale. Rozumiem, że wszystko w porządku. A więc pojedę dalej. Na pewno spotkam Juareza po drodze.

Z godnością odwrócił się i udawał, że zamierza odejść. Wtedy Meksykanin zerwał się na równe nogi i gwałtownie chwycił go w pól.

— Zostań, milordzie, jeśli panu życie miłe! — zawołał.

Choć Sepi Dziób miał dość siły, by uwolnić się od napastnika, zeszywniał, jak gdyby go strach sparaliżował.

— Do kata, co wyczyniasz?! — krzyknął.

— Jest pan moim jeńcem!

— Ach! Oszustwo! Nie chory?

— Nigdy nie byłem taki zdrowy — roześmiał się Meksykanin.

— Łotr! Dlaczego?

— Aby pana schwytać, milordzie!

— Dlaczego schwytać?

— Z powodu ładunku, który znajduje się na pańskich łodziach.

— Moi ludzie mnie uwolnią!

— Ci tchórze?! Czy widzi pan, jak wioślarze uciekają? A teraz niech się pan obejrzy, milordzie!

Wioślarze istotnie odbili od brzegu w tym samym momencie, gdy Sepi Dziób pozwolił się schwytać. Traper odwrócił się i zobaczył, jak z lasu wyjeżdża oddział jeźdźców. W kilka sekund później otoczyli go. Udając zdumienie i zakłopotanie, gwałtownie potrząsał parasolem. Jeźdźcy zeskoczyli z koni. Kiedy Cortejo zbliżył się do jeńca, rozczarowanie odmalowało się na jego twarzy.

— Kim pan jest? — zapytał.

— A pan kim? — mruknął Sepi Dziób.

— Pytam, kim pan jest! — huknął Cortejo.

— To ja się pytam, kim pan jest! — odwzajemnił się traper. — Jestem Englishman, przednie wykształcenie, przedni ród. Daję pierwszeństwo panu.

— No dobrze! Nazywam się Cortejo.

— Cortejo? Może Pablo?

— W istocie tak — z dumą odpowiedział kandydat na prezydenta.

— Thunderstorm! — zaklął Sępi Dziób. — To szczególne! Okrzyk ten był szczery. Sępi Dziób naprawdę się zdumiał, że widzi przed sobą Corteja. Nawet się ucieszył.

— Szczególne, nieprawda? — roześmiał się Cortejo. — Nie spodziewał się pan tego. Ale teraz niech pan powie, kim jest!

— Nazywam się Dryden.

— Dryden? To kłamstwo! Dobrze znam lorda Drydena. Pan nim nie jest!

Sępi Dziób nie stracił animuszu. Swoim zwyczajem wyplunął długie, cienkie pasmo soku tytoniowego. A kiedy przeleciało tuż koło nosa Corteja, odpowiedział obojętnym tonem:

— Faktycznie, nie jestem nim. Cortejo fuknął gniewnie:

— Uważaj, gdzie plujesz, senior!

— Tak zawsze postępuję. Trafiam tylko tego, kogo chcę trafić.

— Wypraszam sobie! No, więc nie jest pan lordem Drydenem?

— Nie.

— Ale czemu podawał się pan za Drydena?

— Ponieważ jestem nim.

Spokój Sępiego Dzioba wyprowadził Corteja z równowagi.

— Do licha! Jakże to rozumieć?! Nie jest pan nim, a jednak jest?

— Czy był pan kiedyś w Old England? — zapytał Sępi Dziób.

— Nie.

— Nic więc dziwnego, że pan nie rozumie. Tytuł lorda przysługuje tylko najstarszemu synowi.

— A więc jest pan młodszym synem Drydena?

— Yes.

— Jak panu na imię?

— Lionel.

— Ale nie jest pan wcale podobny do swego ojca!

Sępi Dziób znowu splunął tuż koło twarzy Meksykanina.

— Nonsens.

— Zaprzecza pan?

— Yes.

— Zaprzecza pan, że nie jest podobny do swego ojca?

— Zaprzeczam, i to bardzo. Nie ja jestem niepodobny do niego, lecz on nie jest podobny do mnie.

Dziwaczne odpowiedzi schwytanego, jego pewność siebie i spokój zbiły Corteja z

tropu. Nie wiedział, jak się zachować. Toteż milczał jakiś czas.

— Ale ja oczekuję pańskiego ojca — odezwał się wreszcie.

— Lorda Henry'ego? Dlaczego?

— Dowiedziałem się, że wiezie transport.

— Nieprawda! To moje zadanie.

— Gdzie w takim razie jest lord Henry?

— U Juareza.

— Ach! Więc wyjechał naprzód! Ale dokąd?

— Juarez, jak mi wiadomo, przebywa w Paso del Norte.

— A dokąd wy dążycie?

— Do fortu Guadalupe.

Drwiący, zwycięski uśmiech przemknął przez twarz Corteja.

— Tak daleko nie dojedziecie. Musicie się tutaj zatrzymać i oddać mi wszystko.

Rzekomy Anglik powiódł dokoła wzrokiem, niby obojętnie, w roztargnieniu, ale w istocie było to spojrzenie bardzo przenikliwe. Przez moment przyglądał się koniom. Już wiedział, którego wybierze.

— Oddać panu? — wycodził flegmatycznie. — Dlaczego panu?

— Ponieważ potrzeba mi bardzo tego wszystkiego, co pan wiezie.

— Bardzo potrzeba? Niestety, nie mogę nic sprzedać. Absolutnie nic.

— Och, senior, nie mówię o sprzedaży. Podaruje mi pan cały ładunek wraz z łodziami i statkami.

— Podaruję? Niczego nie podaruję.

— A jednak zmuszę pana!

— Zmusi mnie pan? — roześmiał się traper. Wzruszył ramionami i splunął tak celnie, że ślina trafiła w kapelusz Corteja.

— Do pioruna! — zawołał Meksykanin. — Co panu przyszło do głowy! Czy wiesz pan, co to za obraza?

Sępi Dziób nie tracił spokoju.

— Jestem Englishman. Gentleman może pluć, gdziekolwiek zechce. Komu się to nie podoba, musi mu zejść z drogi.

— Oduczę pana tych żartów! Musi pan zaraz obiecać, że odda nam cały ładunek.

— Nic z tego.

— Zmuszę pana! Jest senior moim jeńcem!

— Phi! — traper plunął obok nosa Corteja, nie przestając wywijać parasolem w

powietrzu. — Jeniec? Znakomicie! Bardzo znakomicie! Już dawno chciałem być jeńcem!

— No, w tym przypadku pańskie życzenie się spełni. Proszę rozkazać swym ludziom, aby nie płynęli dalej.

— Dobrze.

Powiedział to takim tonem, jak gdyby godził się na żądanie Corteja. Wziął parasol pod pachę, przystawił obie ręce do ust i zawołał tak głośno, aby usłyszano go na parowcu:

— Zatrzymać się tu! To Pablo Cortejo!

— Do diabła! Co pan wyprawia! Po ci ich pan powiadamia, kim jestem? — denerwował się Cortejo.

— Przecież pan chciał tego — zauważył obojętnie traper.

— Wcale nie. Zresztą nie wystarczy, by łodzie się zatrzymały. Muszą przybić do brzegu.

Sępi Dziób potrząsnął głową.

— Tego im nie rozkażę. Nawet zabronię.

— Potrafimy panu przeszkodzić! Ilu ma pan ze sobą ludzi?

— Nie wiem. Nieraz zdarza mi się coś zapomnieć, a przypominam sobie dopiero po pewnym czasie.

— Wkrótce się dowiemy. Niech pan zawoła, by parowce przybiły do lądu!

— Nie zrobię tego.

Cortejo położył rękę na ramieniu traper.

— Senior Dryden, łodzie muszą przybić, zanim się ściemni. Jeżeli pan nie wyda odpowiedniego polecenia, potrafię pana zmusić do tego!

— Zmusić? Mnie?! W jaki sposób?

Sępi Dziób wciąż trzymał parasol pod pachą. Ręce włożył do kieszeni spodni. Jego mina była tak obojętna, jak gdyby żadne niebezpieczeństwo nie mogło mu grozić.

— Chłostą! — zagroził Cortejo. — Każę panu wymierzyć pięćdziesiąt batów!

— Pięćdziesiąt? Tylko tyle?

— Senior, pan jest chyba obłąkany?!

— Well! A pan nie?

— Skoro panu pięćdziesiąt batów za mało, każę pana tak długo ćwiczyć, dopóki senior nie będzie miał dosyć.

Sępi Dziób wzruszył ramionami i uśmiechnął się drwiąco.

— Ćwiczyć? Mnie, Englishmana?

— Tak. Może senior być po tysiackroć Englishmanem i po tysiackroć synem czy

bratem lorda, a mimo to każę pana wychłostać, jeśli natychmiast nie usłucha mnie pan!

— Spróbuj pan!

— Zejść z koni! — rozkazał Meksykanin.

Nie zauważył spojrzenia, jakie traper rzucił na wspaniałego deresza, z którego zeskakiwał jeden z jeźdźców. Nie zauważył także, jak rzekomy Anglik powoli wysuwał z kieszeni ręce, w których trzymał dwa rewolwery.

— Obiją pana — powtarzał Cortejo — obiją jak nędznego włóczęgę, jeśli natychmiast nie wykona pan mego rozkazu!

Sępi Dziób chwycił parasol w zęby; nawet jego nie chciał stracić. Błyskawicznie wyciągnął rewolwery i uderzył nimi Corteja między oczy, a następnie zaczął strzelać raz po raz, powalając bandytów.

Cortejo leżał na ziemi nic nie widząc. Wymachiwał rękoma i nogami, drąc się wniebogłoso. Najemnicy zastygli z przerażenia. Nie spodziewali się po tym flegmatycznym Angliku tak nagłego ataku.

Po kilkunastu sekundach myśliwy przestał strzelać i wydał okrzyk do złudzenia przypominający głos sępa. Po chwili go powtórzył — siedział już na wspaniałym dereszu. Spiął wierzchowca ostrogami i popędził ku skrajowi lasu. Tu odwrócił się i zobaczywszy, że Meksykanie wciąż stoją nieruchomo, wydał trzeci, a następnie czwarty okrzyk i znikł pośród olbrzymich drzew.

Teraz dopiero Meksykanie oprzytomnieli.

— Za nim! Za nim! — wzajemnie zagrzewali się do czynu. Podczas gdy większość dopadła koni, paru zostało przy Corteju, aby mu udzielić pomocy.

— Moje oczy, moje oczy! — lamentował ranny. Wyglądał straszliwie. Zranione oczodoły krwawiły obficie. — Do rzeki, zanieście mnie do rzeki! — wrzeszczał. — Ochłody! Ochłody!

Pociągnięto go ku rzece. Istotnie, zimna woda przyniosła ulgę. Kiedy przewiązano mu oczy zwilżoną chustą, przestał jęczeć i nawet mógł uczestniczyć w naradzie.

Pościg za Sępim Dziobem nie powiódł się. Meksykanie niezbyt skrupulatnie szukali śladów. Bardziej im zależało na bogato obładowanych łodziach niż na zwariowanym Angliku, więc szybko zgubili trop.

Jedynie właściciel deresza był rozwścieczony stratą świetnego rumaka. Ale i on się uspokoił, bo pozostały konie po sześciu zabitych, pięciu ciężko rannych i jednym lekko — co było wynikiem dwunastu strzałów Sępiego Dzioba. Poszkodowany mógł więc sobie wybrać dobrego wierzchowca.

Ciała sześciu zabitych po prostu wrzucono do rzeki. Ranni natomiast stanowili poważną przeszkodę w wyprawie. Trzeba było zdecydować, co z nimi zrobić.

— Znam pewne miejsce, gdzie można ich będzie ukryć — rzekł jeden z bandytów.

— Gdzie? — zapytał Cortejo, któremu ból mniej już dokuczał.

— Na tym brzegu nie będą bezpieczni. Ale po tamtej stronie mam starego znajomego. Mieszka w chałupie o trzy mile od rzeki. Tam spokojnie dojdą do zdrowia.

— Ach, gdybym mógł zabrać się z nimi! — jęknął Cortejo.

— Kto panu zabrania?

— Czy mogę was zostawić?

— Czemu nie? Przecież pan nie widzi, a zatem nie będzie z pańskiej obecności żadnego pożytku.

— Być może w ciągu najbliższych godzin odzyskam wzrok choć na jedno oko.

— Być może. Jednak lepiej byłoby dla pana, gdyby zajął się sobą. Wydadź nam rozkazy! Wypełnimy je dokładnie.

— Nie. Zostanę z wami.

Zapadł wieczór, zapłonęło ognisko. Ten, który tak usilnie namawiał Corteja, dłuższy czas siedział w milczeniu, zatopiony w myślach. Wreszcie podniósł się i kiwnął na kilku kamratów, aby poszli za nim.

— Czego chcesz? — zapytał jeden z nich, gdy oddalili się o dobre kilkanaście kroków.

— Posłuchajcie, mam świetny pomysł, ale Cortejo nie powinien się o nim dowiedzieć.

— Mów więc!

— Powiedzcie przedtem, co naprawdę sądzą o Corteju. Zaskoczył ich tym pytaniem.

— Najpierw ty powiedz.

— No, ja sędzę, że to osioł.

— Ale nie zdradziłeś się z tą oceną.

— Gdybym się zdradził, okazałbym się jeszcze większym osłem. Czy rzeczywiście uważacie, że Cortejo może zostać prezydentem?

— O, nie!

— Tak sobie myślę, że Pantera Południa sprzymierzył się z nim tylko po to, by go wykorzystać. Czy nie możemy iść za przykładem Pantery? Czyli zdobyć łodzie tylko dla siebie?

— Do licha, to byłby wyczyn nie lada!



— A więc?...

— Świetna myśl! — przytaknęli chórem.

— I łatwa do przeprowadzenia.

— Tego bym nie powiedział. Bo przecież Cortejo...

— On nam nie może przeszkodzić. Gdybym tylko wiedział, że można wam zaufać!

Czy sądzicie, że ktoś się zainteresuje, jeśli Cortejo zniknie?

— Tak. Jego zwolennicy.

— To właśnie my.

— A córka?

— Co nas obchodzi córka! Ślepy jest i nie wie, co mu zgotujemy. Szybki, pewny cios i po sprawie.

— Morderstwo? Brr!

— Ale pomyślcie, jakie skarby są na łodziach...

— Powiadają, że kilka tysięcy strzelb...

— Mówią nawet o armatach.

— Co tam armaty! Wiem od samego Corteja, że na statku znajdują się wielkie sumy pieniędzy z Anglii. Podobno kilka milionów.

— Do pioruna!

— Czy więc oddamy je Cortejowi, aby dla zdobycia władzy trwonili je na prawo i lewo?

— Czy wiesz na pewno, że są tam pieniądze?

— Z całą pewnością. Wywiadowcy Pantery Południa wyspiegowali to.

— W takim razie bylibyśmy głupcami, zostawiając to bogactwo Cortejowi.

— A więc bierzemy dla siebie!? Cortejo musi zniknąć! Dłużej nie ma się nad czym zastanawiać. Rzecz tylko w tym, by działać po cichu i sprawnie. Musimy wybadać naszych ludzi, zanim przedstawimy im projekt.

— Ale Cortejo był dotąd naszym przywódcą, nie skąpił żołądka i na niejedno przymykał oczy. Czy nie pozwolił ostatnio splądrować hacjendy del Erina? Nie chciałbym, aby go zabito. Możemy się starego pozbyć w inny sposób. Na przykład, sklecimy tratwę i umieścimy go na niej. Może sobie pływać, dopóki go ktoś nie znajdzie.

Po krótkiej naradzie postanowiono tak postąpić.

— A co z rannymi? Jeśli się z nimi podzielimy, nasze udziały będą mniejsze. Uważam, że oni są zbyt tchelnymi.

— To prawda.

— Może wsadzić ich wraz z Cortejem na tratwę?

— Nie — ostro sprzeciwił się któryś. — To nasi koledzy. Wystarczy, jeżeli się pozbedziemy Corteja. Ale nie możemy pozostać bez przywódcy. Naradźmy się i wybierzmy jednego z nas.

Wszyscy przytaknęli mu chórem. Po kilku minutach wybrano na dowódcę tego, który podsunął pomysł pozbycia się Corteja.

Spiskowcy wrócili do kamratów. Każdy poinformował paru, co postanowiono. Szeptem prowadzone rozmowy zaniepokoiły Corteja.

— Co tam gadacie? — zapytał z gniewem. — O co wam chodzi?

— Chcemy wiedzieć, co mamy robić — odparł herszt.

— Co robić? Statki pozostały na miejscu, oczekując powrotu Anglika. Przede wszystkim trzeba więc je zdobyć.

— Ale jak? Gdybyśmy mieli łodzie... Czy sądzi pan, że należy zbudować tratwy?

— To na niewiele się przyda — powiedział po namyśle. — Trudno kierować tratwami. Ach, gdybym chociaż mógł widzieć... Na pewno byśmy je dostali!

— Jak pan sobie to wyobraża?! Nie mamy łodzi, tratw też nie każe pan budować...

— Co stoi na przeszkodzie, by popłynąć wplaw?

— No, niby nic, ale nie wszyscy umieją pływać.

— Nie muszą. W okolicy pełno jest drzewa i sitowia. Niech każdy zbierze sobie przyzwoitą wiązkę, na której będzie się mógł położyć.

— Ale proch zamoknie.

— Nie, bo strzelby zostawicie na brzegu. Wystarczy, jeśli każdy weźmie ze sobą sztylet. Podpłyniecie pojedynczo, tak żeby was nie zauważyli. Niepostrzeżenie dostaniecie się na parowce i szybko rozprawicie z załogą. Potem przewieziecie ładunek na ląd. Och, gdybym mógł być razem z wami!

— Zmajstrujemy dla pana coś w rodzaju tratwy i zabierzemy ze sobą.

— Przecież nie będę mógł nią kierować.

— Dwóch czy trzech ludzi popłynie z panem.

— Jak to dobrze, że jesteście przy mnie! Mam nadzieję, że do jutra będę widział choć na jedno oko. Ale gdybyśmy chcieli czekać do jutra, zdobycz mogłaby nam się wymknąć.

— Trzeba więc jak najprędzej wziąć się do roboty.

— Oczywiście! Czy widzicie jakieś światła na statkach?

— Ani jednego.

— Śpią spokojnie, sądząc, że nic im nie grozi. Ale głupcy! Musicie się odpowiednio

podzielić, aby każdy wiedział, na który parowiec lub łódź ma się wdrapać. Musicie także zgasić ognisko, aby nas nie zdradziło. Idźcie i zbierzcie gałęzie i sitowie. Zróbcie dla mnie porządną tratwę!

— A gdzie chciałby pan wejść? — dopytywał się herszt.

— Na pierwszy parowiec. Oczywiście, do rana ładunek pozostanie na swoim miejscu.

— Dlaczego, senior?

— Muszę go zobaczyć!

Spiskowcy popatrzyli na siebie wymownie i nic nie mówiąc, rozeszli się w różne strony.

Cortejo zrobił ogromne głupstwo, każąc się podwieźć do parowca. Nie dowierzał swoim ludziom i sądził, że już sama jego obecność zapewni bezpieczeństwo ładunkowi. I — o ironio! — ta podejrzliwość miała się obrócić przeciw niemu.

Meksykanie nacięli swymi długimi maczetami wystarczającą ilość sitowia i gałęzi. Dla Corteja sklecieli małą tratwę.

— Jaka jest jej wielkość? — zapytał, kiedy mu oznajmili, że tratwa gotowa.

— Półtrzecia metra długości i dwa szerokości.

— Za mało.

— Och, senior, wystarczy dla jednego człowieka — zawołał przywódca.

— A gdzie usiądą ci, którzy mają nią kierować?

— Będą płynąć obok, co ułatwi jej prowadzenie. Większą tratwę mogliby spostrzec z parowca. A wtedy groziłoby panu niebezpieczeństwo. Po co więc się narażać?

Brzmiało to tak przekonująco, że Cortejo uwierzył.

— Dobrze — zgodził się. — Niech i tak będzie. A teraz już czas na ostatecznie przygotowania. Muszę wam jeszcze przypomnieć, żebyście nie myszkowali na parowcach i łodziach. Ładunek należy do mnie.

— Czy nie możemy liczyć na jakąś część transportu, senior?

— Nie. Wiecie przecież, jaki z tego zrobię użytek.

— Ale to nie pańska własność. Zdobędzie ją pan dzięki naszej pomocy. To jest tak, na przykład, jak zagarnięcie nieprzyjacielskiego statku przez okręt wojenny. Wówczas załoga otrzymuje zapłatę pieniężną.

— Dostaniecie ją, przyrzekam.

— Ile?

— To zależy od zdobyczy. Dam wam dziesiątą część.

— Czy to nie za mało, senior?

— Milcz! Statek wiezie miliony. Z każdego miliona przypadnie na was sto tysięcy. A teraz policzcie, ile to pieniędzy na każdego!

— Nie pomyśleliśmy o tym... To zmienia postać rzeczy. Przystajemy na pańskie warunki.

Gdyby Cortejo mógł widzieć miny swych ludzi i ich drwiące spojrzenia... Gładkie słowa herszta uspokoiły go całkowicie.

— Wygaście ognisko! — polecił. — Pora zaczynać! Meksykanie byli pewni powodzenia. Drżeli na samą myśl, jakie to bogactwa wpadną im w ręce.

Broń palną pozostawili na brzegu i złożyli tak, aby każdy po powrocie szybko odszukał swoją strzelbę. Potem w ustalonym porządku zanurzyli się w wodzie, kładąc się na wiązках. Corteja wsadzono na tratwę, którą mieli kierować dwaj wyborowi pływacy.

— Naprzód! — rozkazał.

Taki był początek wyprawy po złote runo.

Przebyto połowę długości, gdy z pierwszego parowca wystrzeliły rakiety. Zrobiło się jasno jak w dzień. Meksykanie stwierdzili z przerażeniem, że załoga w ciemności czuwała na posterunkach.

— Ognia! — rozległ się czyjś głos.

Huknęły działa. Rzeka wzburzyła się. Wysokie strumienie wody strzeliły w górę. Rozległy się rozpaczliwe krzyki i przekleństwa Meksykanów, wielu zniknęło pod powierzchnią. Jednego z dwóch pływaków, kierujących tratwą Corteja, trafiła kula.

— Santa Madonna, pomóż! — zawołał do kolegi. — Ugodzono mnie w ramię! Nie mogę już dłużej!

W tej chwili błysnęła rakietą i w jej świetle drugi pływak ujrzał, jak jego zraniony towarzysz puścił tratwę i poszedł na dno.

— Trzymaj się mocno zdrową ręką — radził Cortejo.

— Za późno, senior! Biedny chłopak utonął.

— Ty przynajmniej trzymaj się mocno. Powiedz, co widzisz!

— Wystrzelono znowu rakiety.

— Do pioruna! I strzelano kartaczami? Czy trafiono kogoś?

— Tak, senior.

— A więc trzeba szybko dostać się na pokład!

— Nic z tego nie będzie. Wszyscy wracają na brzeg. Oczywiście, mówię o tych, którzy ocaleli.

— Piekło! Zagłada! Wszyscy? A więc napad się nie udał?

— Niestety, nie!

— Do licha, że też nic nie widzę! Inaczej by nam poszło!

— Wzrok nie chroni przed kartaczami.

— A więc kieruj ku brzegowi!

— Oczywiście — Meksykanin zmienił nagle ton. — Ale tam dopłynę sam.

— Dlaczego? Co ty pleciesz?

— Ponieważ zabroniono mi przywieźć pana na brzeg. Cortejo zaniemował z przerażenia. Zrozumiał, na jakie niebezpieczeństwo wystawiła go ślepotą.

— Kto ci zabronił? — wyjąkał po chwili.

— Koledzy.

— A więc bunt, spisek?

— Nazywaj to pan, jak ci się żywnie podoba! Mogłem pana już dawno porzucić, ale na razie tratwa mi się przydaje.

— Do pioruna! Dlaczego nie chcą mnie słuchać?

— Ponieważ jest już nam pan niepotrzebny.

— A wasze wynagrodzenie?!

— Nie chcemy wynagrodzenia. Wolimy całą zdobycz.

— A więc o to wam chodzi? Człowieku, powiedz prawdę! Czy istotnie masz mnie zostawić na pastwę losu?

— Tak.

Niewypowiedziany lęk ogarnął Corteja.

— Co ci kazano ze mną zrobić? — zapytał, trzęsąc się ze strachu.

— Z początku zamierzano pana zabić, lecz później postanowiono zdać na łaskę rzeki.

— Człowieku! I wykonałbyś to?! Nie pozwolę!

Wyciągnął się na tratwie. Jego głowa spoczywała w pobliżu miejsca, którego trzymał się pływak.

— W jaki sposób mi pan przeszkodzi? — ironicznie zapytał Meksykanin.

— A w taki! — Cortejo mocno chwycił rękę mężczyzny.

— Chce mnie pan trzymać? To się panu nie uda. Łatwo sobie poradzić ze ślepym?.

— Nagrodzę cię w dwójnasób — kusił Cortejo.

— To mało. Nie dam się przekupić, nie zaciągnę pana na brzeg. Bądź zdrow!

Byli już blisko lądu.

— Nie, nie puszczę cię! — Cortejo ze zdwojoną siłą ścisnął przegub ręki pływaka.

— No, bo użyję siły! — zagroził Meksykanin. Wyciągnął maczetę zza pasa i przyłożył

ostrze do dłoni Corteja. — Radzę panu puścić, bo odrąbię palce!

Cortejo szybko cofnął rękę.

— Płyn, senior, dokąd chcesz — roześmiał się spiskowiec. — Ale strzeż się, abyś nie wpadł w ręce Anglików!

Mocnym uderzeniem pchnął tratwę na środek rzeki, a sam odpłynął do brzegu.

Cortejo poczuł, że został opuszczony.

— Czy jesteś daleko? — zapytał. Nie było żadnej odpowiedzi.

— Odpowiadaj! Na miłość boską, odpowiadaj! — Nasłuchiwał uważnie: żadnego dźwięku! — Sam! Sam jeden! Ślepy i bezbronny! Wydany na zagładę! Co począć? Jak się ratować?

Miał jednak jeszcze dosyć energii, aby nie rezygnować.

— Kto mi zabroni — mówił do siebie — przybić do brzegu i odbyć surowy sąd nad zdrajcami? Przecież na pewno jest tam wielu moich zwolenników. A więc naprzód!

Ześliznął się z tratwy i trzymając się jej, zaczął płynąć, jak mniemał, w kierunku brzegu. Tratwa kręciła się, obracała w koło; spostrzegł to, gdyż prąd miał na przemian to przed sobą, to za sobą. Niepodobna było utrzymać jednego kierunku.

— Nie idzie! — lamentował, opadając z sił. — Jestem zgubiony, nie ma dla mnie ratunku! Nawet jeśli będę wołał pomocy, co z tego? Usłyszy mnie tylko ten przeklęty angielski lord i wyśle łódź, a wówczas wpadnę w jego ręce. Jedynie jakiś przypadek mógłby mnie uratować. Muszę czekać, aż prąd wyniesie mnie na brzeg.

Wszedł z powrotem na tratwę i wyciągnął się na niej. Pływanie znacznie go osłabiło. Oczy bolały bardzo. Zdjął chustę, aby ją zmoczyć w wodzie. Prąd unosił go tymczasem coraz dalej.

Mimo panujących w dzień upałów noce w owych stronach są na ogół chłodne. Ubranie Corteja było mokre. Poczuł wnet zimno, do tego dołączyły się dreszcze i natężający się ból. Wiedział, że nie wolno mu jęczeć, a przecież z bólu chciało mu się krzyczeć na cały głos.

Mijały minuty, dłużyły się jak wieczność.

Wreszcie odczuł uderzenie. Tratwa przybiła do brzegu. Macając rękoma, natrafił na gałąź. Uchwycił się jej mocno. Po jakimś czasie upewnił się, że prąd osadził tratwę na stałym lądzie. Leżał jeszcze chwilę, mógł bowiem przemywać oczy wodą. Dzięki temu zabiegowi ból się zmniejszył, a gorączka zmaląła. Gdy poczuł się lepiej, powłókł się wzdłuż zagajnika w poszukiwaniu wygodnego miejsca.

— Z początku muszę się ukrywać — mruknął — aby mnie nie znaleźli moi ludzie,

jeśli zechcą szukać.

Ostrożnie dotykając, przekonał się, że znalazł to, czego szukał. Położył się na ziemi.

— A więc przynajmniej nie utonąłem! — cieszył się. — Szczęście nie opuściło mnie jeszcze. Kto wie, czy nie zdołam ocaleć!

Wysiłek, ból i gorączka tak go trawiły, że zapadł w sen, co prawda niespokojny, ale bądź co bądź dający zapomnienie. Obudził go chłód. Po wietrze i opadającej mgle zorientował się, że dnieje. I wówczas przekonał się z radością, że lewe oko zupełnie straciło zdolność widzenia. Gdy pierwsze promienie słońca padły na wodę, wydało mu się, że dostrzega tę słoneczną poźlotę. Nie było to złudzenie. Wprawdzie stan zapalny nie ustąpił, ale z minuty na minutę się zmniejszał, a koło południa Cortejo mógł nawet dojrzeć własną rękę.

Upłynęło jeszcze nieco czasu. Cortejo zaczął nasłuchiwać. Zdawało mu się, że słyszy tętent konia. Tak, istotnie rozległo się głośnie parskanie. Myśli zaczęły mu się kłębić w głowie. Kto nadjeżdża? Kto się zbliża? Czy wezwać go? To może być przecież wróg.

Kiedy łódka z Sępiem Dziobem odbiła od parowca, lord Henry i załoga z niepokojem oczekiwali, co będzie dalej. Wreszcie rozległ się strzał, a za nim szereg następnych. Lord spojrzął przez lunetę.

— O, Boże, zastrzelał go! — zawołał.

— A ja myślę — powiedział sternik — choć nie mam lunety i nie widzę dokładnie, co się tam dzieje, że to strzela Sępi Dziób.

Po chwili dał się słyszeć głos sępa, po nim drugi.

— Bogu dzięki — ucieszył się lord. — Uwalnia się! I chyba siedzi już na koniu.

Sternik wyteżył wzrok.

— Tak — potwierdził — i ucieka do lasu! Sęp odezwał się po raz trzeci i czwarty.

— A więc udało mu się! — lord nie posiadał się z radości. — Jedzie do Juareza! Ale patrzcie! Organizują pościg!

— Niech się pan nie martwi, sir — uspokajał sternik. — Nie dogonią go. Ale kogóż to niosą na brzeg?

Lord skierował lunetę w tamtą stronę.

— To Cortejo. Zapewne został ranny w twarz, bo mu ją obmywają. Nic więcej nie mogę dostrzec. Wiele bym dał, żeby ten człowiek wpadł w moje ręce.

— Kiedy Juarez nadciągnie, na pewno go schwyta.

— Miejmy nadzieję.

Niebawem ujrzano, że pościg wrócił bez Sępiego Dzioba.

— Miał pan rację — zwrócił się lord do sternika. — Nie złapali go. Ale co zrobiam

dalej? Może opuszczą to miejsce? Musimy czekać.

Tymczasem Meksykanie rozbili obóz i rozpalili ognisko.

— Niech pan powie, milordzie — spytał sternik — czy to gorzej dla nas, że zostają?

— Nie sędzę, choć przypuszczam, że zamierzają złożyć nam wizytę, aby zdobyć ładunek. Zapewne sklecą tratwy. Nie zapalajmy świateł i czuwajmy w ciemnościach. Niech działa będą ustawione we wszystkich kierunkach.

Spełniono rozkazy. Po mniej więcej pół godzinie ognisko Meksykanów zagasło. Brzeg i rzeka tonęły w głębokim mroku. Po pewnym czasie sternik zawołał:

— Zdaje się, że nadchodzą! Wystrzelić rakiety!

W jasnym świetle ujrzeli Meksykanów płynących głowa przy głowie. Przebyli już połowę drogi do parowców.

— Ognia! — rozkazał lord Dryden gromkim głosem.

Rozległ się potężny huk. Strumienie wody trysnęły do góry. Zakołysały się łodzie. Kiedy strzały umilkły, słychać było wyraźnie krzyki i jęki zaatakowanych. Po chwili zgasły rakiety i zapanowała ciemność.

— Wystrzelić ponownie! — rozkazał sternik.

Wybuchnął nowy snop światła. Rzeka — widzieli to w jego blasku — usłana była ciałami wrogów, a ci, którzy ocalili, uciekali do brzegu. Jakaś tratwa mknęła z prądem. Leżący na niej człowiek wydawał się martwy. Gdyby lord wiedział, że to Cortejo, nie omieszkałby wysłać za nim czółna.

— Zwyciężyliśmy! — radował się sternik.

— Teraz tak — lord był bardziej sceptyczny. — Należy się jednak spodziewać, że ponowią próbę dostania się na parowce i łodzie.

— Odpłynęmy więc stąd.

— Nie możemy. Tu musimy czekać na Sępiego Dzioba. Tak się przecież umówiliśmy.

— On nas i tak znajdzie. A zresztą nie wróci przecież przed jutrzejszym południem, do tego zaś czasu przyplniemy z powrotem.

— Czy nie sądzi pan, że Meksykanie pojedą za nami wzdłuż brzegu?

— W tej ciemności przez lasy i krzewy? To niemożliwe!

— A czy my damy sobie radę na rzece?

— Tak. Mamy wprawdzie przed sobą niebezpieczny zakręt, ale będziemy się poruszać bardzo wolno.

— No dobrze, zgoda.

Sternik wydał odpowiednie rozkazy. Po cichu przekazano je na drugi parowiec i z



łodzi do łodzi. Niebawem podniesiono kotwice na statkach, a załogi czółen zaczęły pracować wiosłami.

Meksykanie stali na brzegu w głębokich ciemnościach. Przywódca kazał przede wszystkim rozpaść ognisko, aby można było znaleźć pozostawioną tu odzież i broń. Teraz dopiero policzono straty. Zginęło około trzydziestu ludzi.

— Niech diabli porwą tych łotrów! — zaklął herszt. — Jak myślicie — zwrócił się do kamratów — dlaczego wystrzelili rakiety wtedy, kiedy przebyliśmy połowę drogi?

— Usłyszeli nas — powiedział jeden.

— Nie wierzę — sprzeciwił się drugi. — Chyba...

— A ja uważam — przerwał trzeci — że ostrzegło ich zagaśnięcie naszego ogniska. Łatwo zmiarkowali, w jakim celu to zrobiliśmy.

— Masz rację — zgodził się przywódca. — Musimy ponowić napad, ale tym razem nie zgasimy ognia.

— I zobaczą nas...

— Wcale nie. Przepłyniemy na drugą stronę jak najdalej stąd, a następnie damy się nieść prądowi, tak że zbliżymy się do nich od strony, z której się nas nie spodziewają.

— Do diaska, spójrzcie no tam!

Wszystkie oczy skierowały się ku rzece. Z kominów obu parowców leciały iskry, potem usłyszano obroty kół.

— Odpływają! — zawołał przywódca. — Ale nic jeszcze straconego. Możemy ich jutro doścignąć.

— Wlokąc za sobą rannych?

— Nie! Wrzućcie ich do wody! Co za pożytek z tych drabów, którzy i tak muszą umrzeć?

Wszystkim był ten pomysł na rękę. Nie pomogły błagania i łzy rannych. Wkrótce prąd uniósł ich ciała.

Kominy parowców długo jeszcze wyrzucały dym i iskry, gdyż maszyny rozpalono drzewem. Meksykanie posepnie, bez słowa przyglądali się temu. Dopiero gdy na rzece zapanowała ciemność, bo statki zniknęły za zakrętem, jeden z bandytów zwrócił się do herszta:

— Co teraz?

— Pozostaje jedno: przeciąć im drogę. Tam, gdzie rzeka skręca ku Salado.

— Kiedy wyruszamy?

— Nie wcześniej niż o świcie. I tak ich wyprzedzimy. Teraz chodźmy spać, trzeba

odpocząć.

## SPOTKANIE NAD RIO GRANDE

W tym czasie kiedy lord Dryden rozprawiał się z ludźmi Corteja, Juarez dotarł ze swoim wojskiem do zbiegu rzek Rio Grande i Sabinas, gdzie miał się spotkać z lordem. Mimo ciemności spenetrowano wybrzeże, ale nie znaleziono nic, co by świadczyło, że Anglik tu był. Rozbito obóz pod zagajnikiem i zaciągnięto warty.

Jazda dała im się porządnie we znaki, wszyscy więc spali mocno i głęboko. Skoro świt myśliwi zerwali się jednak ze snu, aby upolować nieco zwierzyny.

Niedźwiedzie Serce i jego brat Niedźwiedzie Oko pierwsi dosiedli koni. Za ledwie wjechali na pobliski pagórek, skąd pole widzenia było rozleglejsze, Niedźwiedzie Serce zawołał do Juareza:

— Uff! Ktoś nadjeżdża! — i wyciągnął rękę, wskazując kierunek. Jakiś człowiek galopował przez prerię rozciągającą się za zagajnikiem. Po chwili zbliżył się już na tyle, że widać go było dokładnie.

— To jakiś dziwak! — roześmiał się Juarez, który również wszedł na pagórek. — Skąd się taka kreatura znalazła na prerii?

— Sądząc z ubioru, to Anglik — zauważył Sternau. — Chyba wysłaniec od sir Drydena?

— Hm! Czyżby lord miał konie na pokładzie? Zresztą ten człowiek nie jedzie jak Anglik, lecz jak Indianin.

— Podnosi się w siodle. Szuka czegoś. Pokażmy mu się, co? Wyszli z za drzew. Jeździec ujrzał ich widać natychmiast, bo zatrzymał się na moment, jakby się wahał czy jechać dalej, po czym jeszcze szybciej popędził konia. Na pewno ich rozpoznał, bo podniósł do góry trzymany w prawej ręce parasol, a w lewej cylinder i wydawał głośnie okrzyki radości. Po paru minutach osadził konia, zeskoczył na ziemię i usiłował za pomocą cylindra i parasola ukłonić się dystyngowanie, co mu się, niestety, nie udało.

— Sępi Dziób! — zawołali jednocześnie, poznawszy go po wielkim nosie.

— Do usług, we własnej osobie, panowie — ponownie się ukłonił z wyszukaną galanterią.

Wbił parasol w ziemię, zawiesił na nim cylinder, zdjął surdut i ułożył na kapeluszu.

— Przekłeta maskarada! — prychnął gniewnie. — Raz jeden udawałem Anglika, ale to się nigdy nie powtórzy, moi panowie!

— Udawał pan Anglika? — zaciekawiał się Juarez. — W jakim celu?

— Aby pozwolić się schwytać.

— Nie rozumiem! Chciał pan, aby go schwytano?

Traper wyciągnął z kieszeni kawałek tytoniu i odgryzł odrobinę.

— Tak. I w rzeczy samej schwytał mnie wczoraj nad Rio del Norte niejaki Pablo Cortejo.

— Pablo Cortejo? — powtórzył Sternau. — Sądziłem, że jest w San Juan.

— Jeśli chce go senior zobaczyć, to może mieć tę przyjemność zaraz po obiedzie.

— Opowiadaj, senior! Czy spotkał pan sir Drydena w Refugio?

— Rozumie się, a krótko potem wyruszyliśmy ku Sabinas. Szczegółowo opowiadał swoją przygodę.

— A więc lord oczekuje nas na owym zakręcie? — upewnił się Juarez.

— Tak, senior, przyrzekłem, że was tam przyprowadzę.

— A więc wyruszamy! Czy ma pan dość siły, żeby jechać z nami? A może jest pan zbyt zmęczony?

— Ja zmęczony?! — obruszył się i puścił strumień tytoniowego soku tuż koło nosa prezydenta. — Dajcie tylko innego konia!

Odbyto krótką naradę i ustalono, że część oddziału zostanie przy zwierzętach, a reszta natychmiast pospieszy z pomocą lordowi. W kwadrans później jeźdźcy pędzili galopem przez równinę ze Sternauem i Sępm Dziobem na czele.

Po niespełna dwóch godzinach ujrzeli jakiegoś mężczyznę, który jechał im naprzeciw. Okrążono go, zanim zdążył zmienić kierunek, ale bynajmniej nie wydawał się tym zafrasowany. Średniego wzrostu, średniej tuszy, opalony, wyglądał na przeszło pięćdziesiąt lat. Juarez zapytał:

— Czy zna mnie pan, senior?

— Tak. Senior Juarez, prezydent.

— A kim pan jesteś?

— Jestem myśliwym z Teksasu. Mieszkam na lewym brzegu rzeki.

— Jak się senior nazywa?

— Grandeprise.

— Jest pan Francuzem?

— Nie. Jankes pochodzenia francuskiego.

— Dokąd pan zmierza?

— Do domu.

— Skąd?

— Z Monclovy.

— Widział mnie pan tam?

— Tak.

Juarez zmierzył go przenikliwym wzrokiem.

— Czy słyszał pan o człowieku nazwiskiem Cortejo?

— Tak. W Monclovie.

— A czy zna go pan osobiście?

— Nie.

— Kiedy opuścił pan miasto?

— Wczoraj rano.

— Czy spotkał pan większy oddział jeźdźców, a może zauważył coś podejrzanego? — prezydent szybko zadawał pytania, uważnie obserwując myśliwego. Ten jednak zaprzeczał stanowczo.

— Czy ktoś z was — prezydent zwrócił się do swoich ludzi — zna tego człowieka?

— Ja — powiedział Sępi Dziób. — Spędziłem kiedyś noc u niego. Zapewne przypomni mnie sobie.

— To wystarczy. Naprzód!

Oddział pomknął dalej. Grandepriśe patrzył za nimi ponuro.

— Niech diabli porwą tych wielkich panów! — mruknął. — Gdyby nie Sępi Dziób, nie przestano by mnie wypytywać. Co mnie obchodzą inni ludzie? Mam dosyć własnych kłopotów.

I ruszył przed siebie, trzymając za uzdę jucznego konia.

Mariano przyłączył się do Sternaua i Sępiego Dzioba. Był bardzo podniecony. Zbliżało się spotkanie z tymi, których już od dawna nie miał nadziei zobaczyć. Jego koń dobywał ostatka sił, ale Mariano wciąż go popędzał.

— Szkapą padnie, Mariano — powiedział Sternau. — Pozwól jej odetchnąć!

Nic to nie pomogło. A wierzchowiec Mariana nabrał nagle wigoru. Te trzy, mknące na czele oddziału konie, były — jak się okazało — znakomite. Sternau, Sępi Dziób i Mariano znacznie wyprzedzili towarzyszy.

Koło południa doktor spostrzegł ruchomy punkt na widnokręgu.

— Zatrzymajmy się! — zawołał. Osadził w miejscu konia i wyciągnął lunetę.

— Co tam wodzisz? — dopytywał się Mariano zniecierpliwiony zwłoką.

— Nadjeżdżają jacyś ludzie.

— Od strony rzeki? To może być tylko Cortejo i jego banda. Daj mi, senior, lunetę! —

poprosił Sępi Dziób.

— Niech mnie powiesz, jeśli to nie oddział tego drania! — zawołał traper po chwili.

— Czy widzi pan dokładnie?

— Nie bardzo. Są jeszcze zbyt oddaleni.

— A więc poczekajmy!

Tymczasem nadjechał Juarez wraz z całym oddziałem. Kiedy Sternau powiedział mu, dlaczego się zatrzymali, spytał:

— Co pan radzi, senior doktor?

— Ukryjemy się w zagajniku i podzielimy na trzy pododdziały: przedni, środkowy i tylny. Pierwszy i trzeci okrążą ich, gdy Sępi Dziób da sygnał.

Indianie wycofali się między drzewa i podzielili zgodnie z propozycją Sternaua. Sępi Dziób nie odstępował doktora. Wiercił się w siodle, mrucał coś do siebie, wreszcie zwrócił się do towarzysza:

— Senior, czy mogę zrobić im kawał? Wczoraj zwałem. Niech mnie dzisiaj po raz drugi schwytają.

— To niebezpieczne.

— Phi! Proszę jeszcze raz o pańską lunetę! Obserwował zbliżających się jeźdźców, po czym powiedział:

— To na pewno oni! Na czele jedzie drab, który udawał posłańca prezydenta. Senior, pozwól mi zabawić się ich kosztem!

Nie czekając na zgodę, zeskoczył z konia i wyprowadził go z zagajnika. Usiadł na trawie plecami do zbliżających się jeźdźców, nasunął cylinder na czoło i rozpiął nad sobą parasol! Z binoklami na nosie wyglądał jak człowiek tak zatopiony w rozmyślaniach, że nie dostrzega nic, co się dzieje wokół niego.

Niebawem bandyci go zauważyli. Przywódca, zdumiony, osadził konia.

— Do diabła! — krzyknął. — Spójrzcie, tam ktoś siedzi na ziemi! Jego kamraci spojrzeli we wskazanym kierunku i zobaczyli wielki parasol, a pod nim szary cylinder.

— Wszyscy święci, to Anglik! Teraz my jesteśmy górą! Mówiąc to, herszt popędził konia, pozostali poszli za jego przykładem. Zatrzymali się tuż przy Sępi Dziobie.

— Halo, senior, czy to pan, czy pański duch? — zapytali chórem. Sępi Dziób odwrócił się flegmatycznie, podniósł powoli, zamknął parasol, przypatrzył się Meksykanom przez binokle i odparł:

— Mój duch!

— A nie pańskie ciało?

— Wszak wczoraj mnie zastrzelono, a raczej zabito na śmierć!

— Nie pleć bzdur, senior! Wczoraj udało się panu uciec, ale dziś to się już nie uda.

— Wcale tego nie zamierzam, chcę zostać z wami.

— Gdzie spędził pan tę noc?

— W lesie.

— Ma pan teraz innego konia. Skąd go pan wziął?

— To nie inny koń.

— Wczoraj uciekł senior na dereszu, a teraz ma kasztana.

— Kasztan jest duchem deresza.

— Niech senior nie żartuje! Zabił pan wczoraj bądź zranił dwunastu naszych, dzisiaj zapłaci nam za to. Czy senior wie, gdzie są parowce i łodzie?

— W waszych rękach. Chcieliście je przecież zdobyć.

— Niestety, i to się nie powiodło. Pańscy ludzie strzelali do nas kartaczami. Niech pan wsiada na konia. Pojedzie pan z nami do miejsca, gdzie zatrzymały się statki. Wyda je pan nam albo zginie. Rozważ to sobie senior!

Sępi Dziób splunął na kapelusz przywódcy.

— Gdzie wasz wódz? — zapytał.

— Ja nim jestem! Poza tym skończ, senior, z tym swoim przeklętym pluciem, bo nauczę pana jak odróżniać spluwaczkę od sombrera, który nosi caballero!

„Anglik” wzruszył ramionami.

— Caballero? Phi! Pytałem o Corteja.

— Zamordowali go pańscy ludzie. Podczas salwy był na rzece i został postrzelony, a może utonął.

— Szkoda. Chętnie bym go powiesił!

— To właśnie zrobimy z panem. Ale najpierw pojedziemy po łup. Naprzód, senior, bo panu pomogę!

— A to w jaki sposób?

— W taki!

Wyciągnął pistolety i przyłożył traperowi do czoła.

— Jeśli pan natychmiast nie dosiądzie konia, strzelę panu w łeb!

— Sam zakosztuj kulki! — wycedził Sępi Dziób. Błyskawicznym ruchem wyrwał pistolet z pasa i wystrzelił.

Meksykanin runął z przebitą piersią. Jego kamraci chwycili za broń, ale w tym samym momencie padła salwa z zagajnika. Stu jeźdźców wypadło z impetem z drzew. Ludzie

Corteja zostali okrażeni i wybici do nogi, zanim zdążyli zorientować się w sytuacji.

— Czy żaden nie żyje? — zapytał Juarez.

— Żaden — odpowiedział Sternau, obejrzawszy poległych.

— Szkoda. Nikt nam nie udzieli wskazówek.

— Nie szkodzi — oświadczył Sępi Dziób. — Wiem wszystko.

— A więc gdzie znajdują się statki?

— Tam gdzie je zostawiłem.

— I tam mają być wyładowane?

— Nie. Nad rzeką Sabinas, jak postanowiono wcześniej.

— W takim razie nie wszyscy muszą jechać dalej.

— Oczywiście. Część może wrócić.

— A jeśli czeka nas tam nowa walka?

— Na pewno nie.

— Zgadzam się z Sępi Dziobem — wtrącił Sternau.

— Cieszę się, że tak szybko pokonaliśmy ludzi Corteja, ale nie podoba mi się, że on sam wymknął się nam. Taki łotr jak on zwykle rękami i nogami trzyma się życia. Chciałbym przynajmniej znaleźć jego ciało.

— Poszukamy, kiedy tam przybędziemy — Powiedział Juarez.

— Weźmiemy ze sobą pięćdziesięciu jeźdźców. Reszta niech wraca do obozu i tam na nas czeka. Ruszamy!

Obok Juareza na czele oddziału jechał Sternau, Mariano i Sępi Dziób jako przewodnik. W pewnym momencie traper wyciągnął rękę i wskazując kierunek, zawołał:

— To tam!

Zatrzymali się w miejscu, gdzie poprzedniego dnia lord Dryden miał wpaść w ręce szajki. Liczne ślady wskazywały, że ludzie Corteja spędzili tu całą noc. A dalej, na środku rzeki, stały na kotwicy statki.

Lord Henry od wielu godzin nie schodził z pokładu. Kiedy przed południem parowce wróciły tam, skąd wypłynęły w nocy, wrogów już nie było. Jednakże należało się mieć na baczności i nie przybijać do brzegu.

— Czy rzeczywiście nasi przeciwnicy opuścili te strony? — niepokoił się sternik.

— Myślę, że tak — odpowiedział lord.

— A Juarez, czy nadjedzie?

— Z całą pewnością, jeśli go tylko Sępi Dziób odnalazł. Otóż i on! Z lasu wyłoniła się grupa jeźdźców, a wśród nich rozpoznać można było człowieka w szarym ubraniu, w szarym



cylinderze na głowie i z parasolem w ręce.

— Ma pan rację! To Sępi Dziób — wykrzyknął uradowany sternik.

— A pozostali?

Dryden włożył okulary.

— Widzę Juareza. Ten na prawo od nas. A na lewo... O Boże! Jadę im na spotkanie!

Czółno!

Po kilku minutach czółno odbiło od statku. Gdy lord wyszedł na ląd, podszedł do niego Sępi Dziób.

— Milordzie, oddaję pański ubiór. Niczego nie brak, nawet parasola! A oto senior Mariano i Sternau.

— Synu, mój drogi, drogi synu! — zawołał lord przyciskając Mariana do piersi. — Teraz, mam nadzieję, skończyły się nasze cierpienia! O, gdyby tu mogła być Amy! Czekala przez tyle lat...

— Więc jeszcze nie wyszła za mąż?

— Nie wyszła! Ale zanim ci to opowiem, pozwól mi powitać seniora Sternaua!

Doktor stał przed nim w całej okazałości. Szczera radość biła z jego oczu.

— Milordzie!

— Panie doktorze!

Padli sobie w objęcia i uścisnęli się serdecznie.

— Później porozmawiamy — powiedział Sternau. — Nawet w takiej chwili nie wolno nam zapominać, po co tu jesteśmy. Pan pozwoli, milordzie, to senior Juarez!

— Ależ doktorze! Mogę tylko prosić o wybaczenie — rzekł prezydent łagodnym tonem — że jestem mimowolnym świadkiem waszego spotkania. Nie będę wam przeszkadzał. Gdy się już sobą nacieszycie, zajmijmy się naszymi sprawami.

— O, nie! — stanowczo sprzeciwił się Sternau. — Później znajdziemy czas dla siebie. Teraz są ważniejsze rzeczy do zrobienia. Powiedz, milordzie, czy wiedziałeś, że to banda Pabla Corteja?

— Tak. Sępi Dziób wykrzyczał z brzegu to nazwisko.

— Czy Cortejo brał udział w walce?

— Nie wiem.

— Nie mógł go pan rozpoznać?

— Było ciemno.

— Sępi Dziób przypuszcza, że oślepił tego drania.

— To możliwe. Słyszałem, jak Cortejo wrzeszczał z bólu i widziałem, jak chłodzono

mu twarz wodą.

— W takim razie nie mógł brać udziału w walce. Bardzo nam zależy na tym, aby poznać jego dalsze losy. Niedawno natrafiliśmy na część jego szajki. Zginęli wszyscy. Przywódca twierdził, że Cortejo nie żyje, że został przez was zastrzelony albo utonął. Czy to prawdopodobne?

— Raczej to oni go zamordowali.

— Co pan powiada? Nie schodziliście jeszcze dziś na brzeg?

— Nie.

— A więc niech pięćdziesięciu Indian obszuka starannie okolice, my zaś będziemy oczekiwali na wynik na pańskim parowcu.

— Daję panu do dyspozycji wszystkie moje czółna, doktorze, aby wasi ludzie mogli dotrzeć do brzegów i spenetrować je dokładnie. A teraz płyniemy na statek, seniores!

Znalazłszy się na pokładzie, lord i doktor zasiedli wygodnie i pokrótce opowiedzieli sobie najważniejsze rzeczy.

— A więc wszyscy moi bliscy żyją? — dopytywał się Sternau. — Moja matka i siostra? Don Manuel moja ukochana Roseta?

— Byli zdrowi, kiedy wyjeżdżałem do Meksyku.

— A miss Amy?

— Aż do mojego powrotu będzie przebywać u nich, na zamku. Na pewno wszystko się ułoży. Minął czas próby. Wszyscy cierpieliśmy ogromnie, ale dzięki Bogu męki nasze się skończyły.

Opowiadaniom nie byłoby końca, upłynęło przecież tyle czasu od momentu rozstania. Jednak ze względu na bieżące wydarzenia odłożyli to na później.

Podeszli do Juareza, odpoczywającego samotnie w kajucie.

— Proponuję — powiedział prezydent — nie wracać konno, ale płynąć statkiem do Sabinas. Co pan o tym sądzi, senior Sternau?

— Rzeczywiście tak wygodniej.

— A nasze konie?

— Możemy przekazać je Apaczom, kiedy wrócą z poszukiwań. Miejmy nadzieję, że znajdą tego szubrawca lub przynajmniej trafią na jego ślad.

Lord oddał swoje łodzie Indianom, aby mogli się przepłynąć na lewy brzeg. Ale zrobili inaczej. Podzielili się na trzy grupy. Jedna przebyła rzekę w pław na koniach, a potem pojechała wzdłuż lewego brzegu, druga szukała na prawym, trzecia zaś wsiadła do łodzi i penetrowała rzekę przy obu brzegach. Na wyniki tych starannych poszukiwań trzeba było

trochę poczekać.

Lord pozostał z Juarezem w kajucie, a Sternau, aby im nie przeszkadzać, wyszedł na pokład do Mariana. Dryden nie tylko przywiózł pieniądze i broń. Miał upoważnienie swego rządu, aby omówić z prezydentem stanowisko Anglii wobec dalszego pobytu Francuzów w Meksyku.

Sternau i Mariano od lat nie byli tak szczęśliwi. Rozmawiali o przyszłości, która rysowała się im w różowych kolorach. Nawet nie spostrzegli, że upłynęło parę godzin.

Nagle usłyszeli czyjś krzyk z prawego brzegu.

Sternau podszedł do burty i zobaczył Indianina.

— Niech mój biały brat tu przyjdzie! — wołał Apacz. — Jest ślad.

— Czyj?

— Nie wiem. Jestem tylko gońcem.

Ponieważ wszystkie łodzie były na rzece. Sternau wsiadł do małej jednowiosłowej dingi, przeznaczonej do osobistego użytku lorda.

— Jedziemy! — rzekł Apacz, gdy tylko doktor przybił do brzegu. — Oto koń mojego brata.

Sternau dosiadł wierzchowca i pojechali galopem. Indianin zatrzymał się dopiero po godzinie. Czekala tam na nich grupa jeźdźców, która przeszukiwała prawy brzeg. Po minach Apaczów widać było, że coś znaleźli. Jeden z nich siedział na ziemi. Krucze pióra we włosach wskazywały, że to przywódca. On to zapewne kierował poszukiwaniami. Ujrawszy Sternaua, podniósł się i rzekł:

— Matava-se niech do mnie podejdzie!

Sternau zsiadł z konia, oddał uzdę najbliższemu stojącemu Indianinowi i zbliżył się do przywódcy. Ten wskazał na ziemię.

— Niech mój biały brat zobaczy! Sternau pochylił się i przyglądał chwilę.

— To ślad jeźdźcy! — powiedział.

— Czy brat mój widzi, ile jest koni?

— Tak. Jednego dosiadł, a drugiego prowadził. Miał zatem dwa wierzchowce.

Indianin wyciągnął rękę w kierunku rzeki. Sternau patrzył na ziemię próbując znaleźć dalsze ślady.

— Wjechał do rzeki — mówił — ale przedtem zsiadł, aby zebrać sitowie. A więc chciał się dostać na drugi brzeg. Zabrał nawet kilka pęków, aby ułatwić pływanie koniowi.

— Mój brat słusznie sądzi. Kto to mógł być?

— Być może myśliwy, którego dzisiaj spotkaliśmy. Podążył mniej więcej w tym

kierunku. Trzeba jeszcze dokładniej to zbadać.

— Czerwoni mężowie już to uczynili. Matava—se niechaj tu przyjedzie i obejrzy ślady.

Wskazał na miejsce wydeptane kopytami. Trzeba nie lada umiejętności, aby coś z tego wywnioskować. Po kilku sekundach Sternau oświadczył:

— Tu pasły się konie, podczas gdy jeździec zbierał sitowie. Przypuszczam, że konie się pogryzły. Być może wydarły sobie trochę sierści. Trzeba poszukać, a nuż coś się znajdzie.

— Czerwoni mężowie szukali. Mój brat niech obejrzy ten włos z końskiego ogona — podał Sternauowi czarny włos.

— A ten drugi kosmyk, który trzymasz w ręku? — spytał doktor po chwili.

Apacz podał mu go także. Były to krótkie włosy. Sternau również obejrzał je dokładnie, po czym stwierdził:

— Te są czerwonobrunatne. To włosy z grzywy. Jeden koń jest więc czarny, a drugi czerwonobrunatny. Takie konie miał jeździec, którego dziś spotkaliśmy.

— Uff! Czerwoni mężowie byli jeszcze bardziej spostrzegawczy — wskazał na las, z którego wyjeżdżali właśnie dwaj Apacze na spienionych wierzchowcach...

— Skąd oni wracają?

— Niech mój brat sam z nimi pomówi! Gdy się zbliżyli, Sternau zapytał:

— Czy moi bracia tropili ślady?

— Matava—se odgadł — powiedział jeden z nich. — Prowadzą do miejsca, gdzie spotkaliśmy myśliwego.

— A więc to on?

— Tak, nikt inny.

Sternau zorientował się, że to jeszcze nie wszystko, co Apacze chcieli mu przekazać, więc pytał dalej:

— Dlaczego moi czerwoni bracia tak się zajmują owym myśliwym? Czy odkryli coś jeszcze?

— Tak, Matava—se zapewne myśli, że jeździec przeprowił się przez rzekę. Wojownicy Apaczów to samo myśleli, ale kiedy pojechali dalej, odnaleźli jego ślad.

— A więc tutaj wjechał do rzeki, a nieopodal wyjechał z niej? Nie rozumiem po co. Aby tylko napić konie, nie trzeba wjeżdżać do rzeki. Poza tym, jeśli miał tak prędko wrócić na brzeg, po co mu było sitowie? A zatem należy przypuszczać, że zamierzał się przeprowić, ale z jakiegoś sobie tylko znanego powodu zrezygnował z tego.

— Matava—se jest nader dociekliwy.

— A więc moi czerwoni bracia znaleźli coś jeszcze?

— Tak. Niech mój brat mi towarzyszy.

Indianin wszedł w sitowie a Sternau poszedł za nim. Ciężko było się tutaj poruszać, ale trud wnet się opłacił. Po stu krokach stanęli nad rzeką. I wtedy Sternau zobaczył tratwę skleconą z sitowia i gałęzi. Była zbyt obszerna jak dla jednego człowieka.

— Mój biały brat niech obejrzy tratwę! — zachęcił Indianin.

— Już to robię. Ale czy mój czerwony brat znalazł coś, co mogłoby nam wyjaśnić, do kogo należała ta tratwa?

— Owszem.

Indianin sięgnął za pas i wydobył barwną chustkę, złożoną w przepaskę i związaną na końcach. Wyglądała tak, jakby ktoś jej używał do przewiązywania bolącej głowy. Sternau przyjrzał się dokładnie chustce.

— Tu są ślady krwi. Tą chustką przewiązано krwawiące oczy. Gdzie była?

— Zaczepiła się na tratwie.

— Co za brak przezorności ze strony tego Corteja! Na pewno to on! — Sternau spojrzał na ziemię i zobaczył kilka dalszych śladów. — Czy synowie Apaczów szukali dalej?

Indianin skinął twierdząco głową.

— Mój brat niech mi towarzyszy!

Pośród sitowia ktoś utorował w miarę dobrą drogę. Wnet dotarli do miejsca, w którym wyraźnie widać było podwójny ślad kopyt końskich, prowadzący z wody.

— Tu więc myśliwy wyszedł z rzeki — stwierdził Sternau.

— A pojechał tam — dodał Indianin, wskazując na prawo. Poszli za tym nowym śladem aż do małego, wydeptanego placyku.

— Czy moi bracia tu również coś znaleźli? — zagadnął Sternau.

— Tu leżał Cortejo — odpowiedział Apacz — i tu spotkał się z białym myśliwym.

— Dokąd prowadzi ten ślad?

— Znów do lasu.

— Czy poszliście tym tropem?

— Nie. Chcieliśmy wpierw pomówić z Matava-se.

— Dobrze zrobiliście. Czy mój brat sądzi, że myśliwy zabrał z sobą Corteja?

— Tak. Posadził go na drugim koniu.

— A zatem niech brat wraz z kilkoma ludźmi wyruszy za nimi, aby sprawdzić, czy pojechali w kierunku Candel i Saltillo.

— To zajmie wiele dni.

— W przypadku gdybyście chcieli dotrzeć do samego Saltillo. Ale wystarczy tropić

ślad do jutra w południe, abyśmy się mogli zorientować, dokąd się udali. Niech synowie Apaczów niezwłocznie przywiozą mi tę wiadomość.

— Gdzie będzie mój brat?

— W Monclovie.

— Uff!

Indianin razem ze Sternauem wrócił do swoich. Skinął na pięciu towarzyszy. Dosiedli koni i nie tracąc czasu pojechali tropić myśliwego.

Sternau powiedział przywódcy tej grupy Apaczów, aby wszystkim przekazał rozkaz o zaprzestaniu poszukiwań. Polecił również, aby odprowadzono łodzie na statki.

Juarez, lord i Mariano oczekiwali doktora z niecierpliwością.

— Znalezione coś? — dopytywał się Juarez, gdy tylko Sternau pojawił się na pokładzie.

— Tak!

— Jego samego?

— Niestety nie. Tylko jego ślad.

— To niedobrze! A więc żyje?

— Tak, a tą chustką przewiązywał sobie oczy — pokazał im przepaskę.

— Czy jeszcze coś wiadomo? — dopytywał się lord.

— Pewne jest to, że ma zranione oczy. Po drugie, że pływał na małej tratwie.

— A więc słusznie przypuszczał mój sternik, że zdradzili go najemnicy.

— W takim razie musiał przeżywać okropne chwile. To nie przelewki być ślepym i samotnie pływać na tratwie.

— Przypuszcza pan zatem, że istotnie oślepl?

— Przynajmniej chwilowo. Być może opaska zsunęła mu się z oczu i nie mógł jej znaleźć. Prąd zaniósł na brzeg jego małą tratwę. Jakoś wydostał się na ląd. Znalezione go pośród sitowia.

— Kto? — spytał prezydent.

— Myśliwy, którego dziś spotkaliśmy.

— Ach, ten! A więc nasi Apacze się spóźnili?

— Tak, Niestety. Ten człowiek pojechał z nim, jak się wydaje, w kierunku południowym.

— A więc jeszcze nie wszystko stracone! Został w kraju. Gdyby znalazł się na drugim brzegu, dotarłby do Teksasu i stracilibyśmy nad nim władzę. Czy możemy się domyślać, dokąd się udał?

— Tak. Nawet jestem pewny — powiedział Sternau. — Do hacjendy del Erina. Tam jest jego córka. Ślepy i bezradny przede wszystkim stara się znaleźć wśród ludzi, którym może ufać. Mam na myśli w pierwszym rzędzie córkę.

— Sądzi pan, że myśliwy zaprowadzi go do hacjendy?

— Cortejo mógł przyrzec mu duże wynagrodzenie.

— To bardzo prawdopodobne. Jest również możliwe, że ci ludzie znają się od dawna.

— Czy przypomina pan sobie, senior Juarez — powiedział szybko — jakie nazwisko podał myśliwy, gdyśmy go o nie spytali?

— Tak, Grandepriise.

— A więc jest sprzymierzeńcem Corteja! Wszak Enrique Landola nazywał się kiedyś Grandepriise!

— Myśli pan, że ten myśliwy to krewny tamtego?

— Być może. To rzadko spotykane nazwisko.

— Trzeba schwytać ich obu. I to jak najprędzej! Co już pan przedsięwziął, senior Sternau?

— Wysłałem kilku Apaczów, aby zbadali ślady. Mają sprawdzić, czy trop prowadzi ku Saltillo i powiadomić mnie o tym w Monclovie.

— Czy nie lepiej by było, zamiast wywiadowców wysłać cały oddział w pościgu za tymi łotrami? Szybciej mielibyśmy Corteja w ręku.

— Myli się pan. O zmroku musielibyśmy zaprzestać ścigania, Grandepriise zaś może jechać bez przerwy całą noc.

— Czy ma aż tak świetne wierzchowce?

— Przejedzie noc i z pierwszej lepszej stadniny zabierze inne konie. Tropiący nie zdołają go doścignąć.

— A więc Cortejo nam umknie?

— Nie. Ale schwytny go dopiero w hacjendzie del Erina. Do tego zaś potrzebna nam pańska pomoc, senior Juarez.

— Jaka?

— Z listu córki Corteja wynika, że zebrała się tam większa liczba zwolenników Corteja. Potrzebujemy zatem ludzi, senior.

— Ilu?

— Trudno mi wyliczyć dokładnie, bo nie wiem, ilu kwateruje w hacjendzie.

— Zobaczą, co się da zrobić. Hacjenda jest ważnym, rzec można, punktem strategicznym; leży w pobliżu wielkiej drogi z Południa na Północ. Zależy mi więc na

zdobyciu jej, tym bardziej, że przy okazji można będzie unieszkodliwić Corteja. Porozmawiamy jeszcze o tym. A teraz powinniśmy chyba wyruszyć, by co rychlej przybyć do Monclovy.

— Musimy, niestety, czekać na łodzie.

— Kiedy wrócą?

— Najwcześniej za godzinę.

Sternau nie pomylił się. Apacze pojawili się przy statkach dopiero po upływie godziny. Oba parowce były gotowe do drogi. Juarez wydał Indianom rozkaz, by wrócili do obozu drogą lądową i statki odpłynęły.

Podczas jazdy prezydent miał dosyć czasu, aby omówić z lordem ważne dla Meksyku sprawy. W końcu sporządzili pisemne porozumienie i podpisali je. Na Rio Grande del Norte został zawarty pakt, który zmusił Napoleona III do wycofania wojsk z Meksyku i do rezygnacji z wtrącania się w wewnętrzne sprawy kraju rządzonego przez Juareza.

— Chciałbym wcześniej dotrzeć do hacjendy niż Cortejo — zwierzył się Sternau Marianowi.

— Niezła myśl!

— Ponieważ nie wiadomo, ilu się tam zebrało zwolenników Corteja, przydałoby się co najmniej tysiąc jeźdźców. Ale Juarez chyba nie da nam tylu.

— Czemu nie moglibyśmy pokusić się o zdobycie hacjendy z mniejszym oddziałem? Nie liczba, lecz odwaga stanowi o zwycięstwie.

— I ja tak uważam. Ale najważniejsza jest strategia. W każdym razie musimy się pospieszyć.

— Zapominasz, że Cortejo jedzie zapewne okrężnymi drogami, gdyż lęka się Francuzów nie mniej niż nas.

— W dodatku — dopowiedział Sternau — jest ślepy i mimo że towarzyszy mu Grandepriese, bezradny. Bola go oczy, ma też chyba gorączkę. To także może opóźnić jego przybycie do hacjendy. A więc jeśli po zejściu na ląd nie będziemy oszczędzali koni, może go wyprzedzimy.



## ZNAK MIKSTEKÓW

Parowce i łodzie z ładunkiem pokonały już dużą odległość. Sępi Dziób stał na mostku pierwszego statku. On to bowiem prowadził małą flotyllę.

Nazajutrz wypłynięto z Rio Grande del Norte na Salado i zbliżono się do ujścia Sabinas.

Sternau podziwiał piękny, nie skażony cywilizacją krajobraz, kiedy podszedł doń Juarez i zaczął rozmowę:

— Czy rodzina wie o pańskim powrocie?

— Nie. Kiedy wylądowaliśmy w Guaymas, zamierzałem do niej napisać, ale tam nie ma urzędu pocztowego.

— I tu go nie ma, a zresztą nasza poczta jest raczej niepewna.

— A więc moi bliscy długo jeszcze będą czekać na wiadomości ode mnie — zasmucił się Sternau.

— Chętnie bym panu pomógł, ale Francuzi utrudniają mi życie, jak tylko mogą. Dwukrotnie usiłowałem przekazać prywatną korespondencję, ale za każdym razem odmawiali.

— Czy to były pańskie listy?

— Nie. Pisali je nie znani mi ludzie; prosili tylko o pozwolenie na wysłanie listów. Chętnie je dawałem, lecz z granicy francuskiej strefy okupacyjnej odsyłano listy z powrotem, choć były otwarte i każdy mógł poznać ich treść. Jedna osoba straciła wskutek tego majątek, druga też poniosła poważne straty.

Mówił o tym z goryczą i smutkiem. Potem dodał już zupełnie innym tonem:

— A gdyby tak zrobić im kawał? Napisze pan do domu dwa jednakowo brzmiące listy. Jeśli jeden przepadnie, to może drugi dotrze do celu.

— W jaki sposób?

— Jeden wyśle pan do Tampico, a drugi do Santillana. W obu tych miejscowościach mam zaufanych ludzi, którzy chętnie przekażą je na jakiś statek.

— Ale kto je zawiezie do tych ludzi? To niebezpieczna misja.

— Mam wiele oddanych mi osób, które są na tyle przedsiębiorcze, że podejmą się tego zadania. Zresztą, nie ma mowy o prawdziwym niebezpieczeństwie. Nawet jeśli Francuzi schwytają jednego gońca i otworzą list, to przekonają się, że zawiera tylko prywatne informacje, co nie może zaszkodzić gońcowi.

— Muszę więc w liście pominąć milczeniem moją znajomość z panem.

— Niekoniecznie, bo co zawinił goniec, że nadawca osobiście mnie zna?

— Kiedy mogę napisać?

— Natychmiast, o ile to możliwe. Gdy tylko dotrzemy do obozu, wyszukam dwóch chętnych, którzy bezzwłocznie wyruszą w drogę.

Sternau napisał obszerny list do swoich bliskich. W chwili kiedy kończył przygotowywać kopię, parowiec oznajmił gwizdem, że dotarł w pobliże obozu. Panował w nim ożywiony ruch. Na dość dużym obszarze prerii rozłożyli się nie tylko jeźdźcy, ale także właściciele zamówionych wozów, zaprzęgniętych w woły. Łodzie podpłynęły ku brzegom i przystąpiono do wyładunku.

Dopiero teraz okazało się, co przywiózł lord dla Juareza: małe beczułki pełne złotych monet, tysiące strzelb, noży, pistoletów i rewolwerów, wielkie zapasy prochu, ołowiu, naboji, telefony polowe wraz ze zwojami potrzebnego drutu, nosze dla rannych i wiele innych rzeczy, niezbędnych do walki, i pielęgnowania rannych. Łodzie były wypełnione po burty. Każdy, kto je widział, zdawał sobie sprawę, jak wielkie znaczenie dla prezydenta i wiernych mu Meksykanów miały te dary przekazane przez rząd angielski.

Dryden osobiście kierował rozładunkiem, a Juarez przyjęciem ładunku i przenoszeniem na wozy. Sternau pomagał lordowi.

— Co się stanie ze statkami? — zapytał.

— Wróć do Refugio. Ja zostaję przy Juarezie.

— Jako poseł Anglii?

— Tak.

— Ale czy wziął pan pod uwagę niebezpieczeństwo, na jakie się naraża, milordzie?

— Tak. Nie może to jednak wpłynąć na zmianę mojej decyzji. Uważam, że obecność przy prezydencie przedstawiciela Wielkiej Brytanii jest niezbędna. Przekonamy się, czy wojska cesarskie ośmielą się potraktować jako szajkę bandytów armię, w której przybywa dyplomata reprezentujący swój, w dodatku wielki, kraj. Za kilka dni przyjedzie tu oficjalny przedstawiciel Stanów Zjednoczonych.

— Mariano zechce zapewne zostać z panem, ma on jednak inne obowiązki.

— Sądzę, że to się da połączyć. Zanim nie wkroczymy do stolicy Meksyku, nic nie zdziałamy w sprawie Rodrigandów. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wszyscy zostanieie u Juareza. Jego wojsko już niebawem zajmie stolicę. Wiem, że cesarz francuski otrzymał ultimatum od rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jeśli Napoleon III nie wycofa stąd wojsk, Stany wyślą swoją armię.

— Naturalnie. Przypuszczam nawet, że toczą się już tajne pertraktacje w sprawie terminu i sposobu wycofania się wojsk francuskich.

— Czy sądzi pan, że ustąpią bez walki?

— Aż tak naiwny nie jestem.

— Więc co będzie?

— To proste. Skoro arcyksięciu Maksymilianowi dali koronę cesarza, będą go teraz namawiali, aby abdykował dobrowolnie. Ale on, na ile go znam, pod namową i presją cesarzowej i doradców odmówi. Francuzi zatem, suponuję, pozostawią go własnemu losowi. Będą się cofać i opuszczać miasto po mieście, prowincję po prowincji. Maksymilian nie ma dość siły, aby utrzymać jakąkolwiek miejscowość. W istocie będzie wyglądać tak, jak gdyby to Basaine zwrócił Meksyk prezydentowi.

— A cesarz?

— Poniesie konsekwencje. Zaufał Napoleonowi, a ten go opuszcza. Nie pozostaje mu więc nic innego, tylko wyjechać wraz z Francuzami lub bronić się do końca.

— Mój Boże! Czyżby czekała go śmierć?

— Taki już los! Gdybym mógł być przy nim, aby mu doradzić...

— Nie wskórałby pan więcej niż generał Mejia, który, jak wiadomo, jest najbardziej zaufanym człowiekiem cesarza. Można powiedzieć, że Maksymilian już dawniej uważał, iż to dzięki przeznaczeniu został cesarzem. Świadczy o tym następujący epizod. W roku 1851 zwiedzał Hiszpanię. Kiedy znalazł się w podziemiach katedry w Granadzie, gdzie znajdują się groby jego przodków, Ferdynanda i Izabelli, napisał osobliwy wiersz. Czy zna go pan?

— Nie.

— Ja natomiast zapamiętałem go dobrze. Brzmi tak:

*Blask pochodni w mroków morzu  
Wiedzie wnuka w te zakątki,  
Kiedy w zimnym, ciasnym łożu  
Spoczywają królów szczątki.  
Nad swych wielkich przodków prochem,  
Nad grobowcem zadumany,  
Zmawia modły cichym szlochom  
Za umarłych zapomnianych.  
Naraz zahuczało w grobie,  
Stare próchno słupów grzmi —*

*Złote berło tu w żałobie  
W kraju Wschodu blaskiem łśni.*

— Niestety, berła tego szukał nie na Wschodzie, lecz na Zachodzie. Złoty blask zostanie wkrótce przyćmiony. Być może Maksymilian zginie, a jego kości nie zostaną złożone w królewskich grobowcach, tylko w jakiejś meksykańskiej miejscowości. Tak zakończy się sen prawnuka Izabelli i Ferdynanda o cesarstwie! Daj Boże, abym był fałszywym prorokiem! Skończmy jednak ten temat. Oto nadchodzi ktoś, kto zdaje się, chce z panem mówić.

Był to Antoni Unger, czyli Piorunowy Grot.

— Jak długo potrwa ten wyładunek, panie doktorze? — spytał.

— Około dwóch dni.

— A hacjenda del Erina?

— O tym pomówimy później, mój drogi.

— Dlaczego później? Czy nie lepiej zaraz? Słyszałem od Apaczów, że Cortejo zbiegł.

— To prawda — potwierdził Sternau.

— Pojedzie na pewno do hacjendy, do swojej córki. Przecież czytał senior jej list. Słyszał pan także, co mówił konający zbir. Jestem niespokojny o teścia. Nie mogę czekać dłużej, jadę tam natychmiast!

— Drogi są obstawione Francuzami. Schwytyją pana! — Sternau próbował go odwieść od tego zamiaru.

— Nie boję się. Zresztą pojedzie ze mną Bawole Czoło. Zna wszystkie ścieżki, nikt nas nie spotka.

— No dobrze. Przypuśćmy, że szczęśliwie dotrzecie do celu, a co później?

— Uwolnimy hacjendera.

— Wy obaj?

— Tak. Niech pan pójdzie ze mną do Bawolego Czoła. On to panu lepiej wytłumaczy. Zeszli na brzeg. Stał tam Bawole Czoło i rozmawiał z Niedźwiedzim Sercem.

Miksteka zwrócił się do Ungera:

— Co zamierza czynić Władca Skał?

— Radzi czekać.

— Dostyc długo już czekaliśmy!

— Więc mój brat Bawole Czoło chce także pójść do hacjendy? — zapytał Sternau.

— Tak. Jestem wolnym Indianinem. Hacjenda była ojczyzną dla Karii, mojej siostry,

senior Arbellez był moim przyjacielem i bratem. Jadę mu na ratunek.

Słowa te i ton, którym zostały wypowiedziane, przekonały Sternaua, że nic już nie odwiedzie Indianina od tego, co postanowił. Spytał więc tylko:

— W jaki sposób zamierza mój brat ratować Arbelleza? Okolica jest pełna Francuzów.

— Bawole Czoło kpi sobie z Francuzów!

— Ale jest ich wielu.

— Miksteków jest więcej.

— Mój brat chce zwołać swoich braci? To zajmie sporo czasu.

— Nie. Gdy wódz Miksteków da znak ognisty na górze El Reparo, nazajutrz wieczorem zgromadzi się dokoła niego tysiące mężów.

— Czy to pewne? Mój brat nie był tyle lat u swoich!

— Synowie Miksteków nigdy nie zapomnieli o swoich obowiązkach. Idzie z nami także mój brat Niedźwiedzie Serce.

— Uff! — potwierdził wódz Apaczów.

— Kto będzie dowodził Apaczami, którzy zostaną z Juarezem?

— Mój brat Niedźwiedzie Oko.

Sternau milczał chwilę, wpatrując się w ziemię. Wreszcie podniósł głowę i powiedział:

— Moi bracia mają rację. Nie możemy czekać, aż Juarez da nam ludzi. Nasz przyjaciel Arbellez jest w niebezpieczeństwie, a więc obowiązek nakazuje spieszyc mu z pomocą.

— Wiedziałem, że Matava-se pojedzie z nami — rzekł Bawole Czoło, a jego oczy rozjaśniła radość. — Karia i jej biała przyjaciółka zostaną przy Juarezie.

— Czy nie pożegnamy się z nimi?

— Nie, bo mogą próbować nas zatrzymać.

— A co ma powiedzieć Juarez, gdy go o nas zapytają?

— Niech powie, że udaliśmy się na zwiady. To je uspokoi i nie będzie kłamstwem.

— A więc chodźmy natychmiast do prezydenta!

Juarez, lord i pozostali towarzysze Sternaua byli zaskoczeni postanowieniem czterech śmiałków. Z początku usiłowali wyperswadować im to szalone przedsięwzięcie. Gdy się to jednak nie udało, Mariano, kapitan Unger i Mały Andre oświadczyli, że chcą się do nich przyłączyć. Potem tę samą chęć wyrazili Mindrello i hrabia; starszy pan przypomniał, że ma osobiste porachunki z Cortejem. Sternau był przeciwny narażeniu hrabiego Ferdynanda na trudy wyprawy, lecz w końcu ustąpił, uświadomiwszy sobie, iż nagłe zjawienie się tego

właśnie człowieka musi wyrzucić na Josefie wielkie wrażenie, co skłoni ją, być może, do cennego wyznania.

— Weźcie ze sobą jakiś oddział Apaczów! — prosił Juarez doktora.

— Dziękuję, ale nie. Im nas będzie mniej, tym łatwiej dostaniemy się do hacjendy.

— Gdybym miał dostateczną liczbę żołnierzy, dałbym wam taką eskortę, że moglibyście jechać nie ukrywając się. Ale ufam, że nie zawiedzie nadzieja, jaką pokłada Bawole Czoło w rodakach. A zresztą, niebawem i ja do was dojadę.

Po serdecznym pożegnaniu dziewięciu mężczyzn dosiadło koni i ruszyło ku hacjendzie del Erina.

Kiedy po trzech dniach Juarez przybył do Monclovy, dowiedział się o nadejściu ochotniczych oddziałów amerykańskich. Wcielił je do swego wojska i podążył w ślad za przyjaciółmi, aby przyjść im w razie potrzeby ze zbrojną pomocą.

Tymczasem Sternau i jego towarzysze pojechali drogą okrężną, co przedłużyło wyprawę. Wreszcie dotarli w okolice hacjendy. Nie zauważeni przez nikogo zatoczyli wokół niej koło i zaczęli się wspinać na górę El Reparo.

Była to ta sama góra, w której wnętrzu znajdowała się jaskinia z królewskim skarbem, na jej szczycie natomiast, w pobliżu sadzawki krokodyli rozgrywały się okrutne sceny, znane czytelnikom „Rodu Rodrigandów”.

Jadący na czele oddziału Bawole Czoło nagle osadził konia.

— Tam ktoś jest — zawołał wskazując ręką.

Ujrzeni człowieka siedzącego na ziemi; opodał niego koń skubał trawę.

— Musimy go podejść tak, aby nas nie spostrzegł — zaproponował Piorunowy Grot.

Miksteka pokręcił przecząco głową.

— To vaquero z hacjendy del Erina. Poznają go, choć się zestarzał. Nie musimy kryć się przed nim.

— Czy to oddany człowiek?

— Był zawsze przyjaźnie usposobiony do mnie.

— Zaraz się o tym przekonamy — zdecydował Sternau.

Gdy vaquero ich ujrzał, wskoczył na konia i chwycił strzelbę.

— Emilio nie powinien się lękać! — zawołał Bawole Czoło. — Czy też może został wrogiem Miksteków?

Vaquero jak gdyby zeszywniał w siodle.

— O Dios! — zawołał wreszcie. — Bawole Czoło! Czy umarli zmartwychwstają?

— Nie, ale żywi wracają. Czy znasz tych seniorów?

Emilio powiódł wzrokiem po jeźdźcach. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia, a potem wielkiej radości.

— Valga me Dios, czy ja śnię? Przecież to senior Sternau!

— We własnej osobie.

— A to Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów!

— Tak, oczy cię nie mylą.

— O, mój Zbawco! A myśmy sądzili, że zginęliście. Gdzie są pozostali.

— Żyją i wkrótce przyjadą za nami.

— Przykro mi, ale zastaniecie niedobre zmiany w hacjendzie. Przed wszystkim wrogów.

— Ilu ich jest?

— Około sześciuset.

— Kto im przewodzi?

— Cortejo. Ale on niedawno wyjechał. Zastępuje go córka, seniorita Josefa.

— Co robią ci ludzie?

— Jedzą, piją i śpią. Zameczają vaquerów, oczekując powrotu Corteja.

— Gdzie jest senior Arbellez?

— Uwięziony. Wtrącili go do piwnicy. Ma tam umrzeć śmiercią głodową. Seniora Maria Hermoyes i Anselmo są przy nim.

— Anselmo? Uff! Ten, który był w forcie Guadalupe?

— Tak.

— Musimy natychmiast jechać do hacjendy! Czy zabierzesz się z nami?

— Oczywiście.

Patrząc na tych dzielnych ludzi Emilio wierzył, że przyniosą wyzwolenie hacjendzie. Poznał wszystkich z wyjątkiem Piorunowego Grota. Kiedy więc ruszyli, zbliżył się do niego i zapytał:

— Wybacz senior. Na pewno widziałem już pana dawniej, ale nie wiem, kim pan jest.

— Czyżbym aż tak bardzo się zmienił? — uśmiechnął się Unger. Ten uśmiech sprawił, że vaquero aż krzyknął z radości.

— Wszyscy święci! Nie mogę wprost uwierzyć! Senior Unger! Boże, co za szczęście! A czy seniorita Emma również żyje?

— Żyje i niebawem wróci do hacjendy. Powiedz mi, kto skazał jej ojca na śmierć głodową.

— Chyba seniorita Josefa.

— Czy Cortejo był jeszcze wówczas w hacjendzie?

— Tak.

— W takim razie oboje poniosą zasłużoną karę.

Unger zmienił się na twarzy. Widać było, że pała żądzą zemsty. Również w oczach Bawolego Czoła, który przysłuchiwał się rozmowie, pojawił się gniew. Biada Cortejowi i jego córce, jeśli wpadną w ich ręce!

Droga prowadziła po zboczu góry. Zanim zgasły ostatnie promienie dnia, dotarli do sadzawki aligatorów. Jej powierzchnia była gładka. Bawole Czoło zatrzymał się na brzegu i wydał żalony okrzyk, jakim wabi się krokodyl. Natychmiast wyłoniło się z głębi kilka łbów. Zwierzęta dopłynęły do brzegu i poczęły kłapać paszczami, wydając głuchy dźwięk.

— Uff! Długo nie żarły! — rzekł Miksteka. — Wkrótce się nasycą. Bawole Czoło postara się o jadło dla świętych krokodyli.

Objechali staw, w lesie zsiadli z koni i oddali je pod opiekę Emilia. Dalej poszli pieszo. Pośrodku szczytu góry wznosił się w kształcie piramidy pagórek, który mógł uchodzić za twór natury.

— Oto jest piec mego plemienia — oświadczył wódz Miksteków.

— To smolny piec? — zapytał Piorunowy Grot.

— Tak, wypełniony smołą, żywicą, siarką i suchą trawą. Więcej niż przed stu laty został postawiony, a jednak wciąż jeszcze działa. Otwórzmy go!

Podszedł do boku piramidy, wyjął kamień pokryty ziemią i zarośnięty trawą.

— To otwór do przewiewu?

Skinął głową, po czym wdrapał się na wierzchołek pagórka. Tkwił tam pień drzewa wyglądający tak, jak gdyby piorun nadał mu obcy, nieco dziwaczny kształt. Bawole Czoło wyginał go dopóty, dopóki nie ustąpił. W jego miejscu pojawił się dół. Indianin go powiększył, rozkopując rękami ziemię.

— Ściemniło się — powiedział. — Zapalimy ogień, znak wojny. Bawole Czoło przez długie lata był z dala od swoich. Moi bracia wnet się jednak przekonają, że Mikstekowie uważają go za wodza.

Ukląkł, wyłupał z pnia kilka suchych szczap i wykrzesał nad nim iskrę. Wkrótce zajęły się jasnym płomieniem. Wrzucił je do otworu i zszedł z pagórka. Z początku rozległo się trzeszczenie, po czym głośne syki. W końcu wybuchnął płomień półmetrowej wysokości.

— Za niski — zauważył Unger.

— Mój brat niech chwilę poczeka — uspokajał wódz. — Synowie Miksteków umieją



wzniecać płomienie wojny.

I rzeczywiście. Po minucie płomień zaczął się wznosić, a po pięciu osiągnął niebywałą wysokość. Miał kształt słupa, który na górze rozpryskiwał się we wszystkich kierunkach z takim blaskiem, że zrobiło się jasno jak w dzień.

— Co za piec! — dziwił się Sternau. — Takiego jeszcze nigdy nie widziałem! Czy podobnych jest więcej?

— Tak. Są wszędzie tam, gdzie żyją Mikstekowie. Do wzniesienia ognia wyznaczono nawet specjalnych mężów.

— A jeśli oni umarli?

— Przed śmiercią przekazali innym swoje powinności. Niech mój brat spojrzy! Oto odpowiedź!

Wskazał na południe. W odległości, której z powodu mroków nocy niepodobna było określić, wznosił się również płomień. Identyczny wybuchł na północy i już wkrótce ujrzeli pięć podobnych zniczów.

Bawole Czoło podszedł do wielkiego kamienia, który leżał w pobliżu. Podniósł go z trudem i oto ukazał się otwór, w którym leżało kilka kul wielkości bilardowych. Wziął trzy, wrzucił w ogień, a otwór przykrył kamieniem.

— Po co te kule? — zapytał Sternau.

— Mój brat zaraz zobaczy.

Ledwie to powiedział, a już trzy płomienie wystrzeliły ku niebu i utworzyły w górze trzy ogniste tarcze, które przez dłuższy czas tkwiły na jednakowej wysokości, po czym powoli zaczęły się obniżać.

Wkrótce zobaczono podobne znaki nad pięcioma pozostałymi piecami.

— Co to za sygnały?

— Każde miejsce ma swój znak — wyjaśnił Bawole Czoło. — Mój oznaczał górę El Reparo, aby Mikstekowie wiedzieli, gdzie się mają zgromadzić.

— Ale wrogowie również zauważą te ognie.

— Nie będą rozumieli ich języka. Oto płomień opada. Wkrótce opuścimy to miejsce.

Ognisty znak gasł z taką samą szybkością, z jaką się rozpałił. Kiedy znowu zapadły ciemności, Bawole Czoło ułożył kamień w otworze pagórka, a pień umieścił na poprzednim miejscu.

— Jeśliby tu przyszli wrogowie — powiedział — nic nie znajdą.

— Dokąd teraz idziemy?

— Tam, gdzie ukryjemy się do jutra wieczór.

— Aż do wieczora? — niecierpliwiał się Unger. — Czy w dzień nic się nie da zrobić dla hacjendy i dla Arbelleza?

— Nic. Ale wieczorem hacjenda będzie nasza.

Wrócili do koni, wsiedli na nie i zjechali z góry. Zboczyli na lewo i w pół godziny później dotarli do jaskini osłoniętej zaroślami.

— Tu będziemy czekać — oświadczył Bawole Czoło. Przywiązali konie, rozstawili straże, ułożyli się na mchu i usiłowali zasnąć.

Noc i dzień upłynęły w spokoju. Około szóstej wieczorem nastął zmrok, jednakże Bawole Czoło postanowił czekać jeszcze dwie godziny. Wreszcie opuścili jaskinię, dosiedli koni i ruszyli. Wkrótce usłyszeli przed sobą i za sobą tętent koni.

— Kto to może być? — szepnął Piorunowy Grot do Bawolego Czoła.

— Mój brat niech będzie spokojny. To synowie Miksteków, którzy usłuchali mego wezwania.

Kiedy wjechali na El Reparo, panowała tam niezwykła cisza. Przy sadzawce krokodyli rozpoznali jednak mimo ciemności sylwetki ludzi i koni, skupione głowa przy głowie. Wyminęli grupy Indian i zatrzymali się nad brzegiem stawu. Wódz zawołał głośno:

— Naba niaketza! Chcę mówić!

Rozległ się lekki szmer oręza, po czym ktoś zapytał:

— Taio taba? Kim jesteś? — Naba Mokashi–tayiss.

— Mokashi–tayiss! Mokashi–tayiss! — dało się słyszeć z wielu ust.

— Bawole Czoło, wódz Miksteków — odezwał się po chwili ten sam głos — nie żyje.

— Bawole Czoło żyje, był w niewoli u wrogów i teraz wrócił, aby się zemścić. Kto z nim rozmawia?

— Rzący Rumak.

— Rzący Rumak jest wielkim wodzem, jest pierwszy po Bawolim Czoło i dowodził opuszczonymi dziećmi Miksteków. Niech podejdzie z pochodnią, aby mnie mógł poznać.

Wielu wojowników stłoczyło się dookoła wodza. Jeden z nich, w stroju myśliwskim, takim samym, jaki dawniej nosił Bawole Czoło, zbliżył pochodnię i spojrzał mu w twarz.

— Mokashi–tayiss! — zawołał. — Cieszę się, synowie Miksteków! Wasz wódz powrócił! Podnieście tomahawki i noże, aby go powitać!

— Uff!

Po tym jednym słowie zaległa cisza. Bawole Czoło zaczął mówić:

— Niech strażnicy powiedzą, czy jesteśmy bezpieczni.

— Nie ma tu obcego oprócz ośmiu białych, których sprowadził jeden z Miksteków! —

zawołano z dala.

— To ja byłem owym Miksteką. Ilu was jest?

— Przeszło jedenaście set.

— Niech moi bracia słuchają! Jutro dowiecie się, gdzie tyle czasu przebywał Bawole Czoło. Teraz powiem tylko, że Juarez, Zapoteka, wyruszył, aby wypędzić z kraju Franków. Bawole Czoło pospieszy doń z wojownikami, pragnącymi walczyć w jego szeregach. Dziś wszakże pojedziemy do hacjendy del Erina, aby pokonać przebywających tam ludzi Corteja. Jego czereda składa się z najgorszych łotrów białych twarzy, dla których Miksteką nie ma litości. Kto z nich nie ucieknie, musi umrzeć. Moi bracia niech się podzielą na dziesiątki dziesiątek i jadą za mną. Tam, gdzie się zatrzymam w pobliżu hacjendy, zostaną konie oraz pięćkroć po dziesięciu mężów. Niech wyznaczy ich wódz Rzący Rumak. Pozostali po cichu obejdu hacjendę i utworzą koło, a kiedy padnie pierwszy strzał, uderzą na wroga. Zwycięstwo jest pewne, gdyż przyprowadziłem Władcę Skał, Niedźwiedzie Serce — wodza Apaczów — oraz Piorunowego Grota, mężnego białego wojownika.

— UfP. — rozległo się znowu.

— Bawole Czoło nie chce znać miłosierdzia? — zapytał Sternau.

— Nie! Mój brat Arbellez miał umrzeć śmiercią głodową. Niech giną jego prześladowcy.

— Ale przecież nie wszyscy!

— Przy Corteju nie ma ani jednego mężnego człowieka. Miksteka niszczy takie gady. W drogę!

Jeźdźcy ruszyli z góry z Bawolim Czołem i jego przyjaciółmi na przedzie. Na równinie puścili konie galopem. Zatrzymali się dopiero na miejscu, oddalonym o niecałą milę od hacjendy. Wszyscy zeskoczyli z koni oprócz Sternaua.

— Dlaczego brat mój nie zsiada? — chciał wiedzieć Bawole Czoło.

— Może się zdarzyć, że napadnięci, straciwszy nadzieję ocalenia, zabiją Arbelleza. Temu zamierzam przeszkodzić. I dlatego pojedę do hacjendy jeszcze przed waszym atakiem.

— Podzielam zdanie mego brata.

— Weź mnie z sobą! — poprosił Unger.

— Dobrze — zgodził się Sternau. — Ale poczekamy, aż folwark zostanie okrążony. Mój wystrzał — zwrócił się do Miksteki — będzie dla was sygnałem.

Pięćdziesięciu wojowników zostało przy koniach. Reszta w milczeniu ruszyła piechotą. Spodziewano się ujrzeć ogniska obozu. Jednakże ludzie Corteja zajęli widać dwór i inne budynki hacjendy, bo żadnego obozu nie rozłożyli. Dzięki temu Indianie mogli podejść

bardzo blisko. Kiedy okrążyli hacjendę, Sternau i Unger puścili wierzchowce w cwał, jak gdyby przybyli z daleka. Zatrzymali się przed bramą i zapukali. Zapytano, czego chcą.

— Czy to hacjenda del Erina?! — zawołał Sternau.

— Tak!

— Jesteśmy gońcami.

— Kto was wysłał?

— Pantera Południa.

— W takim razie możecie wejść.

Otworzono bramę i wjechali na podwórze. Kiedy zeskoczyli z koni, zaprowadzono ich do dworu. W jasno oświetlonym dużym pokoju na parterze było pełno ludzi. Jeden z nich, zapewne dowódca, zapytał Meksykanina, który ich przyprowadził:

— Czego chcą ci dwaj?

— Przybywamy od Pantery Południa — powiedział Sternau — i musimy się koniecznie rozmówić z seniorem Cortejem. Gdzie on jest?

Dowódca przyjrzał się Sternauowi. Jego potężna postać zrobiła widać na nim wrażenie, ale usiłował nie dać tego poznać po sobie.

— Musicie się przedtem i mnie zameldować! — zawołał.

— Tak? Kimże pan jest?

— Załatwiam meldunki.

— No, więc zamelduj nas pan Cortejowi! Reszta pana nie obchodzi.

Meksykanin roześmiał się ironicznie.

— Myli się pan. Obowiązują tutaj prawa wojenne. Jesteście moimi jeńcami, dopóki nie zdołacie udowodnić, że istotnie wysłał was Pantera Południa.

— Człowieku, na co sobie pozwalasz! Czy zameldujesz mnie czy nie! — huknął Sternau.

— Oho! Teraz mówi się do mnie przez ty! Miej się pan na baczności, bo każę seniora wysmagać!

— Ty śmiesz mi to mówić! Oto moja odpowiedź, kanalio! Chwyć Meksykanina za gardło, dwukrotnie uderzył pięścią w głowę, po czym cisnął nieprzytomnego do kąta.

Nikt nie śmiał się odezwać. Sternau wodził chwilę oczyma po zebranych.

— Każdemu, kto mnie obrazi — zagroził — może się to samo przydarzyć! Gdzie Cortejo?

— Do diabła! To na pewno Pantera Południa we własnej osobie — szepnął ktoś z tyłu. Ta uwaga podziałała.

— Nie ma tu seniora Corteja, opuścił na krótki czas hacjendę. Dokąd się udał, nie wiemy.

— Ale jest przynajmniej seniorita?

— Tak, mieszka na piętrze.

— Znajdę sam, możecie nas nie prowadzić.

Było to po myśli bandytów. Nikt nie miał ochoty iść za nim, kiedy opuścił wraz z Ungerem pokój.

Josefa Cortejo leżała w hamaku i cierpiała okrutnie. Zły stan zdrowia pogorszył się jeszcze wskutek niewłaściwej pielęgnacji. Pocieszała ją tylko nadzieja rychłego a zwycięskiego powrotu ojca z ogromną zdobyczą.

Na korytarzu rozległy się prędkie, głośnie kroki. Może to już on? — pomyślała i podniosła się mimo bólu. Weszli dwaj mężczyźni, nie zapukawszy nawet ani się nie ukloniwszy. Co to za ludzie? Czy już nie widziała kiedyś tej atletycznej postaci? — przemknęło jej przez myśl.

— Kim jesteście? Czego chcecie? — spytała.

— Ach, nie poznaje mnie już pani, seniorka? — zadrwił Sternau. Oczy jej rozszerzyły się ze strachu, policzki pobladyły.

— O mój Boże... Sternau! — wyjąkała przerażona.

— Tak we własnej osobie. A tu widzi pani seniora Ungera, męża Emmy Arbellez.

Josefa opanowała się.

— Czego chcecie? — powtórzyła.

— Chcę tylko zwrócić pani papier — Sternau wyciągnął z kieszeni list, który odebrał od jej gońca. Podszedł i podał jej pismo. Jej własny list! Załamała się.

— Skąd go pan ma? — szepnęła.

— Odebraliśmy zabitemu Meksykaninowi.

— Zabitemu...?

— Z całym oddziałem wpadł w nasze ręce. Wszyscy bez wyjątku zginęli.

Ledwo zdołała wykrztusić:

— Polegli? To straszne!

— Niech się pani uspokoi. Nie warto ich żałować. Zresztą i tak nie dotarliby z listem do celu, gdyż napadliśmy również na pani ojca, kiedy czatował na lorda. Z jego ludzi również nikt nie uszedł z życiem. Czy sam ocalał, nie wiadomo jeszcze.

— O Boże, o Boże! — wyjęczała.

— Nie wzywaj pani imienia Bożego nadaremnie! Jesteś diabłem, nie możesz się

spodziewać pomocy od Boga.

Słowa te przywróciły jej nieco energii.

— Senior, jesteś w głównej kwaterze mego ojca!

— Chce mnie pani przestraszyć? — Uśmiechnął się Sternau.

— Jedno moje słowo, a będziesz jeńcem.

— Myli się seniorita. Oznajmiam pani, że zbliża się Juarez z wojskiem. Wasza błazenada dobiegła dziś końca. Czy pani przypuszcza, że przybyłem tutaj, nie zapewniwszy sobie bezpieczeństwa? Hacjenda jest otoczona, pod wałami stoi przeszło tysiąc Miksteków. Teraz my mamy was w ręku.

— Jeszcze nie! — wykrzyknęła.

W obliczu niebezpieczeństwa odzyskała przytomność umysłu. Mimo bólu podbiegła do stołu, chwyciła pistolet i strzeliła do Sternaua, wzywając jednocześnie pomocy. Strzał chybił, Sternau bowiem uskoczył w bok. Za chwilę już leżała powalona rękami Ungera. Jednocześnie rozległo się dokoła hacjendy przeraźliwe wycie. Mikstekowie usłyszeli wystrzał i przyjęli go za umówiony sygnał. Sternau skoczył ku drzwiom.

— Nadchodzą! — rzekł. — Trzymaj mocno tę kobietę, najlepiej zamknij się z nią w pokoju! Muszę iść do Arbelleza!

Zbiegł po schodach. Dom sprawiał wrażenie gniazda os. Meksykanie biegali w tę i z powrotem i przekrzykiwali się wzajemnie. Na Sternaua w ogóle nie zwrócili uwagi. Przepisnął się między nimi i zszedł do piwnicy. Płonęło tam mdłe światelko. Jakiś mężczyzna stał przy drzwiach na straży.

— Kto jest w tej piwnicy? — zapytał Sternau.

— Arbellez i...

— Gdzie klucz? — przerwał doktor.

— Właściwie na górze u seniority.

— Właściwie? To znaczy, że jest tutaj. Daj go! Strażnik przyjrzał się Sternauowi.

— Kim pan jest? Co to za alarm na górze?

— Jestem kimś, kogo masz słuchać, a ten alarm na górze nie powinien cię obchodzić.

Dawaj klucze!

— Oho! Nic z tego! Najpierw chcę usłyszeć pańskie nazwisko! Nie znam pana!

— Zaraz mnie poznasz!

Mocnym ciosem powalił strażnika. Przeszukał jego kieszenie i znalazł klucz. Po chwili drzwi stały otworem. Wziął lampę i oświetlił pomieszczenie.

Było ciasne, zimne i wilgotne. Na kamiennych płytach leżały stłoczone trzy osoby. Na

piersiach mężczyzny spoczywał inny, a do stóp pierwszego przytulała się kobieta. W kącie poniewierał się kawałek zeschniętego chleba i ogarek świecy.

— Czy jest tu senior Arbellez? — zapytał doktor.

— Tak — jęknął vaquero, usiłując się podnieść. — To mój pan. Ja jestem Anselmo.

Sternau podszedł bliżej. Odblask lampy padł i na jego twarz. Anselmo poznał go.

— O Boże! Senior Sternau! Jesteśmy ocaleni!

— Tak. Wreszcie doczekaliście się ratunku. Czy hacjendero żyje?

— Żyje. Ale jest tak wyczerpany, że może tylko szeptać.

— A czy da radę chodzić?

— O tym nie ma co marzyć.

— Muszę teraz wrócić na górę, ale przyjdę po was niebawem. Nie zamykam drzwi, niech wejdzie trochę świeżego powietrza.

— O Święta Panienko, co za cud! — Maria Hermoyes zęgnęła się znakiem krzyża. — Czy to naprawdę pan, drogi, dobry senior Sternau? Czy jesteśmy wolni, naprawdę wolni?

— Słyszycie strzały?

— Tak — potwierdził vaquero. — Czy to sam prezydent Juarez z wojskiem?

— Nie. Bawole Czoło zwołał swoich Miksteków.

Sternau ponownie oświetlił Arbelleza. Starzec leżał z otwartymi oczami i nie spuszczał ich z wybawcy. Gdyby nie radosny uśmiech, wyglądałby jak nieboszczyk.

— Senior Arbellez, czy poznaje mnie pan? Skinął potakująco głową.

— Czy Anselmo opowiadał panu, że wszyscy uratowani? Że żyje pańska córka Emma?

Arbellez chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu.

— Bądź o nią spokojny, senior! Jest pod opieką Juareza i wkrótce ją pan ujrzy. Idę rozejrzeć się w sytuacji. Niedługo będę z powrotem.

Zostawił im lampę i wyszedł z piwnicy. Kilku napotkanym Mikstekom kazał natychmiast zejść do lochu.

— Są tam ludzie — powiedział — za których bezpieczeństwo odpowiadacie głową.

Kiedy wszedł do sieni, przekonał się, że pobratymcy Bawolego Czoła nie próżnowali. W świetle pochodni, które trzymali w ręku dwaj Mikstekowie, pilnujący widać tego pomieszczenia, Sternau ujrział trupy Meksykanów leżące w kałużach krwi. Trupy leżały też na schodach i w pokojach. Panowała tu cisza. Tylko przed domem słychać było odgłosy walki. Padły strzały, rozległy się wrzaski rozpacz i przekleństwa, miotane przez Meksykanów, oraz triumfu Miksteków.

Stanąwszy w drzwiach, Sternau ogarnął wzrokiem dziedziniec, jasno oświetlony palącymi się stosami drewna. Ludzie Corteja zaszyli się w jednym z kątów podwórza. Nie było ich więcej niż dwunastu, piętnastu. Zrozumieli widać, że nie mogą spodziewać się ratunku ani oczekiwać łaski i bronili się zaciekle. Nie ulegało jednak wątpliwości, że ich sytuacja z każdą chwilą stawała się coraz bardziej beznadziejna. Bawole Czoło stał koło parkanu i raz za razem wysyłał w ich kierunku śmiertelne kule.

— Daruj im życie! — zawołał Sternau. — Dostyc krwi! Trzeba postępować po ludzku!

— Czy senior Arbellez jest zdrowy? — zapytał ostrym tonem wódz.

— Leży jeszcze w piwnicy. Wkrótce zaniosą go na górę.

— A więc istotnie skazano go na śmierć głodową? Arbellez jest moim druhem i bratem, muszę go pomścić! — podniósł strzelbę i wymierzył.

W tym momencie Sternau zwrócił uwagę na scenę rozgrywającą się opodal. Na ziemi leżał ranny Meksykanin i bronił się rozpaczliwie przed Miksteką, który usiłował przebić go nożem.

— Łaski, łaski! — błagał ranny.

— Nie ma łaski! Musisz umrzeć! — ryknął Indianin, chwytając go lewą ręką, a prawą podnosząc do ciosu.

— Nie jestem waszym wrogiem. Żywiłem więźniów. Beze mnie zginęliby z głodu i pragnienia.

Miksteką zdawał się nie słyszeć. Już miał przebić Meksykanina, gdy Sternau chwycił jego wzniesioną prawicę.

— Stój! — rozkazał. — Musimy wysłuchać tego człowieka. Twarz Indianina wykrzywił grymas wściekłości.

— Co to ciebie obchodzi? Powaliłem go i pokonałem, jego życie jest moją własnością.

— Jeśli istotnie uczynił to, co mówi, zasługuje na ulaskawienie.

— Pokonałem go, powinien umrzeć!

Sternau puścił rękę Indianina i wyciągnął rewolwer.

— Zakłuj go, jeśli się ważysz czynić na przekór mojej woli!

— Grozisz mi, swemu sojusznikowi?

— Tak. Jeśli go zabijesz, runiesz martwy!

— Poskarżę się Bawolemu Czołu!

— Poskarż się, ale nie próbuj przeciwstawić się mojej woli! Miksteka odstąpił od swej zdobyczy i podszedł do wodza.

Sternau pochylił się nad rannym.



— Powiadasz, że żywiłeś więźniów? — zapytał.

— Tak, senior. Dziękuję panu, żeś powstrzymał Indianina. Gdyby nie pan, już bym nie żył.

— O jakich więźniach mówisz?

— O tych trzech, którzy leżą w piwnicy. Codziennie przez otwór w ścianie podawałem im chleb, wodę i świece. Prosił mnie o to mój towarzysz, który musiał wyruszyć z Cortejem. Spodziewam się, że pan będzie miał wzgląd na to, senior.

Sternau domyślił się, że Meksykanin mówi o tym człowieku, któremu stale pojawiała się oblicze hacjendera i który, umierając w lesie nad Rio Grande, w ostatnich słowach oświadczył, że dawał jeńcom chleb i wodę.

— Nie zginiesz. A jak tam twoje rany? Zbadał go szybko.

— Nie jesteś ranny śmiertelnie, tylko osłabił cię upływ krwi. Zaraz założę ci opatrunek.

Opatrzył go, jak mógł najszybciej, i polecił opiece Miksteków, którzy stali z pochodniami w sieni.

Tymczasem walka dobiegała końca. Ostatni Meksykanie padli. Tylko poza folwarkiem, w szczerym polu rozlegały się jeszcze pojedyncze strzały. Niedźwiedzie Serce podszedł do Sternaua, który stał przy bramie.

— Zwycięstwo — zameldował z właściwą sobie zwięzłością.

— Czy uciekł któryś z wrogów?

— Zaledwie kilku.

— A niech tam! Zemsta była i tak krwawa. — Czy senior Arbellez żyje?

— Tak. Pójdziemy do niego?

Przyłączył się do nich Bawole Czoło. Nie wspomniał nawet o incydencie z rannym Meksykaninem. Udali się do piwnicy, znaleźli tam uwolnionych więźniów i czuwających nad nimi Miksteków.

Bawole Czoło ukląkł przy Arbellezie.

— Czy poznaje mnie pan, senior? — zapytał. Hacjendero skinął głową.

— Czy bardzo pan cierpi?

Jęk, który wydobył się z piersi starca, był wymowniejszy od słów.

— Wielu odważnych Miksteków zostało rannych w bitwie — stwierdził Sternau — ale pomoc lekarska należy się w pierwszym rzędzie seniorowi Arbellezowi. Musimy natychmiast wynieść go z tej piwnicy!

— Ja będę pielęgnowała mojego pana — powiedziała Maria Hermoyes — dopóki nie

wróci do zdrowia.

Niewiele czasu minęło, a hacjendero leżał w wygodnym łóżku w pokoju na piętrze.

Sternau zbadał go. Organizm starca był skrajnie wyczerpany. Doktor poinformował o tym przyjaciół.

— Pomszczę swego brata Arbelleza — wycedził przez zęby Bawole Czoło. — Nikt mi w tym nie zdoła przeszkodzić. Gdzie jest ta, z której rozkazu musiał cierpieć?

— Leży spętana w sypialni Emmy — odpowiedział Unger, który właśnie wszedł do pokoju. — Jutro urządzimy nad nią sąd. A teraz chcę przywitać się z ojcem.

Nachylił się nad Arbellezem i pocałował go w blade wargi.

— Oto chwila, o której marzyłem przez długie lata. Nie spocznę, póki ci, którzy tak skrzywdzili ojca, nie zostaną ukarani.

Arbellez na tyle odzyskał siły, że zdołał położyć rękę na głowie Ungera i wyszeptać:

— Niech cię Bóg błogosławi, mój synu!

Był zbyt osłabiony, aby powiedzieć coś więcej, ale wyraz twarzy wyraźnie świadczył o szczęściu, jakiego doznawał, patrząc na zięcia i myśląc o rychłym spotkaniu z córką. Ta scena była tak wzruszająca, że nikt z obecnych nie mógł się powstrzymać od łez.

Hrabia Fernando podszedł do chorego i spytał:

— Pedro Arbellez, czy i mnie pan poznaje?

Starzec przyglądał się przez kilka chwil, po czym uśmiech rozjaśnił jego oczy.

— Hrabia Fernando! Mój drogi, kochany pan! O Boże, dziękuję ci, że dałeś mi dziś tyle radości!

Teraz zbliżył się do niego Niedźwiedzie Serce. Ujął go za prawa rękę i powiedział:

— Niech chory brat znowu odzyska zdrowie i szczęście. Ci, którzy go dręczyli, muszą doświadczyć naszej zemsty. Jutro przy pierwszym promieniu słońca odbędzie się nad nimi sąd.

## MYŚLIWY GRANDEPRISE

Cortejo usłyszał nagle słowa wypowiedziane po francusku:

— Znowu kopiesz, koniku kary. Daj spokój gniademu! Francuz! — przeraził się. Jestem zgubiony! Ale po kilku chwilach usłyszał ponownie:

— Do wody! Na tamtym brzegu jest nasza chata i lepsza niż tutaj pasza.

Nasza chata? A więc mieszkał w Teksasie i nie był ani Francuzem, ani Meksykaninem. Cortejo zdobył się na odwagę.

— Halloo! — zawołał. Nikt nie odpowiedział.

— Halloo! — powtórzył głośniej. Teraz usłyszano go.

— Halloo! Kto woła?

— Nieszczęśliwy, pozbawiony pomocy!

— Gdzie jest ten nieszczęśliwy?

— Tutaj.

— Gdzie jest to tutaj? Określ mi miejsce, człowieku!

— Nie mogę, jestem ślepy.

— Do stu piorunów! Ślepy na tym pustkowiu? Zawołaj raz jeszcze, abym mógł się zorientować po głosie.

— Halloo! Halloo!

— Doskonale, już wiem. No, kary, wracamy na ląd!

Do uszu Corteja dotarł tętent zbliżających się koni. Wkrótce ucichł i ktoś zeskoczył na ziemię.

— Mój Boże, senior, jak pan wygląda? Kim pan jest?

— To pan mi powiedz, kim jesteś.

— Myśliwym z tamtych stron.

— Z Teksasu?

— Tak.

— Jankes?

— Tak, lecz Francuz z pochodzenia.

— Skąd pan przybywa?

— Z Monclovy.

— Ach! Do jakiej partii pan należy?

— Do żadnej. Co mnie obchodzą partie! Żyję dla siebie samego.

— Jak się senior nazywa? \

— Grandepriese. \

— To dziwne i rzadko spotykane nazwisko. Ale już gdzieś je słyszałem. Czy ma pan krewnych?

— Słuchaj, no, senior! — obruszył się Grandepriese. — Zadaje pan za dużo pytań! Lepiej byłoby, by pozwolił mi pan obejrzeć swoje oczy, niż zabawiał się w śledczego.

— Przepraszam, senior Grandepriese! Jestem w fatalnej formie. Dziękuję, że chce mi pan pomóc.

Jankes nachylił się nad rannym.

— Powiedz mi, senior, skąd to okaleczenie.

— Z przyczyn politycznych chciano mnie pozbawić wzroku. Słyszał pan coś o Corteju?

— Czy to ten osobliwy człowieczek, który wszędzie rozsłał portrety swojej córki i zamierza zostać prezydentem Meksyku?

— Tak. Co pan o nim sądzi?

— Że jest to najbardziej zarozumiały na świecie osioł! Wszyscy kpią sobie z niego.

Słowa te dotkliwie ukłuły Corteja. A więc tyle ofiar poniósł, aby się wystawić jedynie na pośmiewisko!

— Czy wie pan może, gdzie on teraz przebywa? — zapytał.

— Nie. Nic mnie nie obchodzą tacy ludzie. Gdybym przypadkowo nie spotkał Juareza, nie wiedziałbym i o nim.

— Ach, spotkał pan Juareza! Gdzie, kiedy?

— Niedawno. Tu, w lesie.

— Nie może być! Skąd by się tutaj znalazł Juarez?

— Po prostu jechał na koniu. Rozmawiałem z nim nawet.

— Ale przecież Juarez siedzi w Paso del Norte.

— Kto panu to powiedział?

— Ktoś dobrze poinformowany, Anglik, który spieszył na spotkanie z nim.

— Anglik? Hm, gdzie go pan spotkał?

— Wczoraj po południu. Nad rzeką.

— Do licha, chyba to nie jest... Niech mi go pan opisz!

— Chudy, wysoki jegomość z olbrzymim nosem, w szarym ubraniu, w cylindrze, w binoklach i z parasolem w ręku.

— To jego uważa pan za Anglika? Sępiego Dzioba, myśliwego i poszukiwacza

ścieżek?

— Sępi Dziób? Nieobce mi to przezwisko.

— Znane jest na całej granicy. Ale nim pogadamy, muszę założyć seniorowi opatrunek. Czy ma pan chustkę lub coś podobnego?

— Miałem chustkę, ale gdzieś ją zgubiłem.

— No, trudno, dam panu swoją. Prawe oko wypłynęło całkowicie. Lewe można jeszcze uratować. Powieki są tak spuchnięte, że ledwo widać gałkę.

Pochylił się nad wodą, zanurzył w niej chustkę, a następnie przewiązał oko Corteja.

— Na razie to wystarczy. Znam pewne ziele, którym Indianie leczą rany. Kiedy je znajdę, zobaczy pan, jak szybko odzyska wzrok. Przewiozę seniora na koniu przez rzekę. W mojej chacie będzie pan mógł spokojnie wracać do zdrowia.

— Nie mogę, senior. Bliscy czekają na mnie.

— Gdzie?

— Czy zna pan hacjendę del Erina?

— Posiadłość starego Pedra Arbelleza? Tak, kilkakrotnie tam byłem.

— To właśnie tam.

— A więc jest pan krewnym Pedra Arbelleza? Cortejo nie śmiał wyznać prawdy.

Odpowiedział:

— Tak, bliskim krewnym. Czy był pan w Guadalupe?

— Tak, senior.

— A więc zna pan starego oberżystę Pirnera?

— Który stale mówi o zięciach? O, znam go bardzo dobrze.

— Jest moim krewnym tak samo jak Arbellez. Ja także nazywam się Pirnero. Wracałem od niego do Camargo, a następnie do hacjendy del Erina. Lecz niedaleko stąd schwytała mnie banda Apaczów i tak urządziła, jak pan widzi.

— A to kojoty! Ale że pana nie zabili...

— Szybka śmierć byłaby dla mnie wybawieniem. Wymyślili coś o wiele okrutniejszego. Oślepiwszy mnie, wsadzili na tratwę i rzucili na łaskę rzeki. Gdyby mnie nurt nie zaniósł na ląd i gdyby Bóg pana nie zesłał, zginąłbym niechybnie.

— Bóg chroni sprawiedliwego, senior. Stale doświadczałem tej prawdy. Skoro mnie posłał do pana, nie mogę seniora porzucić. Nie rozumiem jednak, czego tu szukają Apacze. Ja także spotkałem ich oddział. Na czele jechali właśnie Juarez i Sępi Dziób.

— To dziwne, że Juarez odważył się tu przybyć. Przecież cała okolica jest zajęta przez Francuzów.

— Jest pan w błędzie. Juarez zdobył Chihuahua i Monclovę. Była to dla Corteja jakże nieprzyjemna wiadomość. Poczuli się

poważnie zagrożony. Jeśli Juarez opanował obie prowincje — pomyślał — nie zdołam się utrzymać w hacjendzie del Erina.

— Czy wie pan to na pewno? — zapytał.

— Widziałem Juareza. Przybywam z Monclovy, gdzie zebrało się wiele tysięcy jego wojska.

— Mój Boże, jakie to straszne! — wyrwało się Cortejowi.

— Czy obawia się pan Juareza?

— Tak. Kiedyś w Paso del Norte na nieszczęście zyskałem w Juarezie wroga.

— O ile go znam, nie jest zawzięty ani mściwy.

— O, tu wchodzi w grę sprawa polityczna, nie osobista.

— Hm, a więc jest pan zwolennikiem innej partii?

— Tak.

— W takim razie musi się pan mieć na baczności. Najlepiej będzie, jeśli senior uda się do miejscowości zajętej jeszcze przez Francuzów.

— To także moi wrogowie!

— To ci dopiero. Żal mi pana. Chętnie coś dla pana zrobię.

— Gdyby mógł mnie pan zawieźć do hacjendy del Erina...

— To trudna sprawa. Hacjenda leży daleko, a pan jest ślepy i ranny. A poza tym powinien pan unikać spotkań z ludźmi.

— Wynagrodzę seniora sownie, obiecuję!

— Jest pan bogaty?

— Tak.

— Wprawdzie pomagając nieszczęsnemu, nie pytam nigdy o stan jego majątku, ale zawieźć pana do tej hacjendy, to nie byle co. Skoro można zarobić, chyba tylko głupiec przepuściłby taką okazję.

— A więc... Jeśli mnie pan szybko i bezpiecznie dowiezie na miejsce, dostanie tysiąc dolarów. Czy dosyć?

— Do pioruna! Musi pan być bardzo bogaty. Oczywiście, że się godzę.

— Jak długo potrwa podróż?

— Nie potrafię z góry określić. Zależy, jakie trudności napotkamy, a tego nie mogę przewidzieć.

— Czy ma pan dobre wierzchowce?

— Znośne, ale zmęczone. W drodze będziemy je mogli wymienić. Zrobimy to uczciwie: dopłacimy do nowych. Mam przy sobie trochę grosza.

— Ja też mam pieniądze. Właśnie tyle, ile panu przyrzekłem. Apacze zapomnieli mi je zabrać. Czy musi senior zejść jeszcze do swojej chaty?

— Nie.

— To dobrze. Boję się, że Indianie będą przeszukiwać teren. Jeśli mnie znajdą, będę zgubiony.

— I ja także, gdy zobaczą mnie z panem. A zatem, komu w drogę... Ale czy zniesie pan taką jazdę?

— To się okaże. Ze swej strony będę się starał nie przysparzać panu kłopotu.

— Nie traćmy więc czasu! Jeśli Apacze zaczną szukać, na pewno wpadną na trop i będą nas ścigać. Dlatego proponuję nie zatrzymywać się w nocy, aby ich znacznie wyprzedzić. Jutro rano zdobędziemy świeże konie.

Dosiedli wierzchowców i ruszyli.

Cortejowi niełatwo było jechać. Każde stąpienie konia wywoływało natychmiast bóle głowy. Doskonale jednak wiedział, że tylko pośpiech był dla niego ratunkiem. Dlatego zacisnąwszy zęby, starał się znosić ból bez skargi.

Kiedy wyjechali z lasu i znaleźli się na rozległej prerii, Grandepriś obrzucił Corteja badawczym spojrzeniem i zapytał:

— Boli pana, senior Pirnero? Może odpocznijemy?

— Nie. Naprzód.

— Dobrze. Dotychczas cwałowaliśmy. Ponieważ mamy przed sobą równą sawannę, więc pojedziemy galopem. Mimo że szybsza, to łagodniejsza jazda.

Grandepriś miał rację. Galop był o wiele znośniejszy dla Corteja. Jakoś więc wytrzymał, choć paliły go powieki i trawiła gorączka. Towarzysz opiekował się nim troskliwie. W każdej spotkanej strudze zwilżał chustkę i zmieniał opatrunek, przed wieczorem zaś znalazł lecznicze ziele. Zebrał sporą garść liści i łodyg i zaczął żuć na papkę, aby przyłożyć ją Cortejowi do rany. Niedługo później ranny poczuł znaczną ulgę.

Jechali przez całą noc. Nad ranem konie były tak znużone, że musieli się zatrzymać. Urządzili postój w niewielkim zagajniku. Z dala widać było zabudowania jakiegoś folwarku.

— Jesteśmy w pobliżu hacjendy — poinformował Grandepriś. — Czy mam tam pójść i zdobyć konie, podczas gdy pan będzie odpoczywał?

— Tak. Ale, senior, czy wróci pan?... Grandepriś rozzłościł się nie na żarty.

— Uważa mnie pan za łotra? Dałem słowo, a nie zwykłem go łamać.

— Przepraszam. Ukradnie pan konie?

— Nie. Już przecież panu mówiłem. Zabiorę nasze i wymienię. Niewiele dopłacę. Siodła i uprząż zostawię przy panu. To może pana przekona, że na pewno wrócę.

Zdjął siodła i uprząż i odjechał.

Cortejo czuł się o wiele lepiej niż poprzedniego dnia. Uniknął największego niebezpieczeństwa. A Grandepriese, choć nieokrzesany, okazał się szczerym i dobrym człowiekiem. Gdy umilkł w oddali tętent, Cortejo ukojony ciszą zapadł w drzemkę. Trwała zapewne dość długo, gdyż ocknąwszy się usłyszał, że Grandepriese już powrócił.

— Nareszcie się pan zbudził!

— Czy długo spałem?

— Całą wieczność. Już blisko południe.

— O rety! Musimy jechać dalej!

— Cierpliwości! Nawet jeśli nas ścigają, to wyprzedziliśmy ich znacznie, nie ma więc powodu do niepokoju.

— Czy dostał pan konie?

— Tak, parę świetnych wierzchowców. Pomkniemy jak wicher. Niestety, zmuszeni jesteśmy jechać okrężną drogą. W Reynosie wylądowało przeszło tysiąc ochotników ze Stanów Zjednoczonych. Spieszą do Juareza i obsadzili wszystkie hacjendy stąd aż do Monterey. Aby nie natknąć się na nich, pojedziemy do Rio Tigre, okrążając Monterey. Przybędziemy więc do hacjendy z południa zamiast ze wschodu.

— Czy istotnie należy się obawiać tych Amerykanów?

— Rozumie się, senior. Czy pan jest tutaj znany?

— Tak.

— Juarez wysłał zapewne swoje oddziały na spotkanie ochotników. Wśród ludzi prezydenta mogą się znajdować tacy, którzy łatwo pana rozpoznają. A z kolei Jankesi są dobrze wyćwiczeni i czujniejsi od Meksykanów. Nie można więc inaczej postąpić. Aby nie narażać pana, musimy obrać okrężną drogę.

— Ile z tego powodu stracimy czasu?

— Dwa dni.

— To bardzo dużo! Musimy bezzwłocznie ruszać.

— Niech się pan nie denerwuje! Przyniosłem trochę prowiantu. Trzeba coś zjeść. Potem przyłożę panu świeże ziele. I dopiero wtedy dosiądziemy koni. Dla tego kto ma stracić dwa pełne dni, półgodzinna zwłoka nic nie znaczy.

Mimo dokuczliwego bólu Cortejo zjadł ze smakiem przyniesione tortilas. Poczuł



przyływ nowych sił. Postanowił dowiedzieć się czegoś o nowym znajomym.

— Brał mi pan wczoraj za złe, senior Grandepriise, że informowałem się o pańską rodzinę — zaczął.

— Za złe? Nie! Na pustkowiach każdemu przysługuje prawo zadawania podobnych pytań. Ale uważałem, że zanim odpowiem, muszę opatrzyć pańską ranę.

— A więc pozwoli pan, że wrócę do tych pytań. Przypomina pan sobie, że powiedziałem, iż pańskie nazwisko jest mi znane. Czy ma pan krewnych?

— Nie.

— W takim razie niepotrzebnie pytam. Gdyby miał pan krewnego marynarza, to...

— Marynarza? — przerwał myśliwy. — Skąd panu to przyszło do głowy?

— Ponieważ znam marynarza nazwiskiem Grandepriise.

— Czy żyje jeszcze?

— Tak.

— W takim razie to nie ten, o którym myślę. W rzeczy samej miałem krewnego marynarza.

— I nazywał się Grandepriise?

— Nie. Nazywał się inaczej, ale przybrał moje nazwisko, aby mnie zniesławić. Był piratem, rozbójnikiem morskim.

— Do pioruna! Co pan mówi, piratem?

— Tak, był to korsarz, handlarz niewolników, słowem łotr.

— Czy pracował u kogoś, czy też był kapitanem?

— Był kapitanem.

— Jak się nazywał jego okręt?

— „Lion”

— A więc to ten sam.

— Znał pan tego kapitana? A może ma pan z nim porachunki jak ja?

Cortejo odparł wymijająco:

— Owszem, porachunki jeszcze nie zakończone.

— Zrezygnuj pan z ich wyrównania! Na pewno już nie żyje. Szukałem go, jak tylko można gorliwie, dniami i nocami, z nienawiścią i pragnieniem zemsty w sercu. Byłem już na jego tropie przez całe lata, ale ilekroć miałem go już–już schwytać, zawsze mi się wymykał. W końcu ślad zagaął, okręt zatonął wraz z kapitanem.

— Nienawidził go pan?

— Tak, nienawidziłem go tak, jak tylko człowiek nienawidzić może człowieka.

— A jednak był pańskim krewnym?

— Był nawet moim bratem, to znaczy bratem przyrodnim.

— Chyba doznał pan od niego wielu krzywd? Myśliwy milczał przez chwilę, po czym powiedział:

— To był diabeł. Unieszczęśliwił mnie od pierwszego dnia, kiedy jego matka została żoną mego ojca.

— Jego matka była wdową?

— Tak, a mój ojciec wdowcem. Był osadnikiem. Matka, wydawszy mnie na świat, umarła w połogu. Miałem dwadzieścia lat, piękną i dobrą jak anioł narzeczoną, kiedy ojciec mój zdecydował się powtórnie ożenić. W Nowym Orleanie poznał wdowę, Hiszpankę i pojął ją za żonę.

— Nieszczęśliwy związek?

— Och, to mnie nie obchodziło. Ojciec był sam sobie panem i mógł robić, co mu się podobało. Ale ta Hiszpanka wprowadziła do naszego domu swego dziewiętnastoletniego syna. Co mam panu opowiadać! Powiem tylko tyle, że zabrał mi narzeczoną i zastrzelił ojca, a poszlaki rzucił na mnie. Zostałem skazany, ale unikałem kary dzięki przyjaciołom i uciekłem z kraju. Zbrodniarz dopiął celu, zagarnął ziemię, która prawnie do mnie należała. Nie na długo mu jednak starczyło. Przejadł i przepił wszystko. Gdy wydał ostatni szeląg, był zmuszony wrócić do swego zawodu marynarskiego.

— Czy nie próbował pan od razu się zemścić?

— Bałem się wrócić do ojczyzny. Upłynęło wiele lat, zanim wyrosła mi broda i mój wygląd tak się zmienił, że byłem nierozpoznawalny. Ale przyjechałem za późno, zbrodniarz znowu był na morzu. Przyłączyłem się do poszukiwaczy złota, szczęście mi dopisywało. Po czterech latach stałem się zamożnym człowiekiem, zacząłem poszukiwać mordercy ojca i złodzieja mego szczęścia. Deptałem mu. stale po piętach, lecz nie mogłem doścignąć. Pieniądze mi się wyczerpały i znowu zubożałem, nie dokonawszy zemsty. Ten zaś, którego szukałem, przepadł pewnego dnia.

— Dlaczego nazwał się Grandeprisem?

— Ponieważ było to moje nazwisko. Chciał, aby cały świat wiedział, że ja, zbiegły skazaniec, przeklęty ojcobójca, zostałem kapitanem piratów.

— Do licha! Ten Grandeprise jest nawet dowcipny.

— Nazywa pan to dowcipem? Ja to nazywam inaczej.

— Jakie było jego prawdziwe nazwisko?

— Enrique Landola.

— Niech to diabli! Czy nie pomyślał pan, że zbrodniarz żyje jeszcze pod własnym nazwiskiem? Mogę panu powiedzieć, że nie zginął.

— Święty Boże! Zna go pan?

— O, ubiłem z nim niejeden interes i spodziewam się, że niedługo ujrzę czcigodnego Landolę!

Oczy myśliwego wpiły się w wargi Corteja, jak gdyby pragnął wyczytać słowa, zanim zostaną wypowiedziane. Chwycił Corteja za rękę.

— Istotnie spodziewa się pan, że spotka tego człowieka? Jest pan jego przyjacielem czy wrogiem?

— Byłem jego przyjacielem, ale teraz jestem wrogiem. Oszukał mnie i okłamał, zadanie, które mu powierzyłem wykonał niezgodnie z moim zleceniem i wyrządził mi wielkie szkody.

— Chce się pan zemścić? Czy mogę być pańskim sojusznikiem?

— Gdybym wiedział, że można panu zaufać.

— O, senior, daj mi tego potwora w ręce, a uczynię dla pana wszystko, co jest w ludzkiej mocy! Gdzie chce pan szukać Landoli?

— Jeszcze nie wiem. Przede wszystkim muszę dotrzeć szczęśliwie od hacjendy. Z chwilą gdy będę bezpieczny, na pewno otrzymam wyczerpujące wiadomości o Landoli.

— A więc jedźmy! Konie są osiodłane. Obejrzymy tylko pańskie oczy.

Grandeprise zdjął opatrunek. Cortejo z radością stwierdził, że na jedno oko widzi, aczkolwiek słabo. Po ponownym przyłożeniu ziela dosiedli koni i ruszyli w drogę.

W okolicy hacjendy przybyli w nocy. W małej dolince Cortejo osadził wierzchowca.

— Tu będziemy musieli poczekać — powiedział.

— Dlaczego, senior Pirnero?

— Wszak nie wiemy, jak się sprawy mają w hacjendzie. Juarez, a także Francuzi wałęsają się po kraju. Nie wiadomo więc, czy spotkamy tam przyjaciół czy wrogów. Poczekamy do rana, aby zasięgnąć języka, zanim nas spostrzegą.

— W takim razie nie możemy zapalić ogniska. Jak oczy? Czy odczuwa pan ból?

— Nie. Pańskie ziele czyni cuda, senior Grandeprise. Jedno oko jest stracone, drugim jednak trochę widzę.

— To mnie cieszy. Zsiądziemy więc z koni.

Przywiązali wierzchowce do krzewu, aby mogły się popaść, a sami ułożyli się w pobliżu na trawie. Byli tak znużeni, że nie rozmawiali ze sobą.

Minęła już północ. Panowała taka cisza, że omal nie zmorzył ich sen, gdy nagle

usłyszeli nasilający się tętent.

— Kto to może być? — zaniepokoił się Cortejo. — O, jedzie jeszcze jeden.

Istotnie, w tej chwili rozległ się tętent drugiego konia. Zaczęli nasłuchiwać. Po chwili pierwszy jeździec osadził konia i zapytał ostro:

— Kto jedzie?

Wówczas i drugi jeździec się zatrzymał.

— A kto pyta?!

— Ktoś, kto wystrzeli, jeśli natychmiast nie usłyszy odpowiedzi.

— Oho, ja też mam strzelbę.

W tej samej chwili zapiał kogut.

— Odpowiadaj! — zawołał pierwszy. — Twoje hasło?

— Hasło? Jeśli pytasz o nie, jesteś synem cywilizacji, a nie przeklętym Indianinem!

— Ja Indianinem? Niech lichy porwie wszystkich czerwonoskórych! Ale muszę wiedzieć, skąd przybywasz.

— Z hacjendy del Erina. Należę do załogi seniora Corteja.

— Do diabła, jesteście więc kamratami!

— To i ty uciekłeś?

— Bogu dzięki, udało mi się drapnąć.

— No to nie pozabijamy się wzajemnie, tylko pojedziemy razem. Cortejo z napięciem przysłuchiwał się tej rozmowie. Teraz

zawołał głośno:

— Tu są jeszcze inni wasi przyjaciele!

— Do stu piorunów! — szepnął Grandeprise. — Co panu strzeliło do głowy, senior Pirnero? Oni są z oddziału tego głupiego Corteja.

Uciekinierzy oniemieli widać z przerażenie, bo kilka chwil upłynęło, nim jeden z nich zapytał niepewnym głosem:

— Kim jesteście? Też uciekliście?

— Nie.

— Ilu was jest?

— Dwóch.

— Skąd i dokąd jedziecie?

— Z Rio Grande del Norte do hacjendy del Erina. Do mojej córki i do was. Czy nie poznaliście mego głosu? Jestem Cortejo!

— Pan oszalał! — szepnął Grandeprise. — To ryzykowna gra!

— Cortejo? — powtórzył Meksykanin z niedowierzaniem. — Niech senior z nas nie kpi! Cortejo nie wróciłby z jednym tylko człowiekiem.

— A jednak. Zaraz się przekonacie. Podchodzę do was.

— Ale tylko pan. Uprzedzam, że trzymam broń w pogotowiu.

— Dobrze.

Jeźdźcy zbliżyli się do siebie i z niepokojem wsłuchiwali się w ciszę nocną. Rzeczywiście szedł jeden tylko człowiek. Po chwili zatrzymał się tuż koło nich i zagadnął:

— Czy macie zapalki?

— Tak.

— No to zapalcie przynajmniej jedną i oświetlcie moją twarz.

— Do wszystkich diabłów! To naprawdę senior Cortejo! Gdzie pan zostawił swój oddział?

— Później się dowiecie. Powiedzcie przede wszystkim, co się stało, żeście musieli uciekać z hacjendy.

— Zaraz. Tylko zsiądziemy z koni. Jesteśmy dość daleko i nie musimy się bać pogoni.

Kiedy zeskoczyli na ziemię, Cortejo rozkazał:

— Chodźcie ze mną do jaskini! To dobre schronienie. Jeśli ktoś z naszych będzie tędy przejeżdżał, zawołamy go.

Grandepriś cały czas przysłuchiwał się rozmowie. Gdy Cortejo zbliżył się do niego, położył mu rękę na ramieniu i powiedział rozgoryczony:

— Senior, czy to prawda, że jesteś Cortejem? Nie nazywasz się Pirnero i nie przybywasz z fortu Guadalupe?

— Tak. Ale nie unosz się, senior. Byłem zmuszony oszukiwać pana. Nie zamierzałem jednak pana skrzywdzić.

— Wszak słyszał pan, jak się wyrażałem o Corteju?

— I dlatego właśnie wołałem nie wymieniać swego nazwiska. Mimo wszystko wywiążę się z danego panu słowa, tyle przecież seniorowi zawdzięczam.

Myśliwy milczał, starając się pohamować wzburzenie. Wreszcie odezwał się:

— Wprawdzie nie zwykłem ufać takiemu, co mnie okłamał, niemniej pytam raz jeszcze: czy potwierdzasz, senior, że znasz Enrique'a Landolę?

— Tak.

— A czy potwierdzasz również, że się z nim spotkasz?

— Z całą pewnością.

— W takim razie wybaczam panu. Sytuacja wymagała od pana ostrożności. I już nie

biorę seniorowi za złe, żeś mnie oszukał. Spodziewam się jednak, że spełni pan przyrzeczenie, które mi dał.

— Ma pan na myśli wynagrodzenie?

— To nie najważniejsze. Chcę mieć Landolę.

— Dostanie go pan.

Amerykanin uściskał wyciągniętą dłoń.

— A więc interes ubity. Nie jestem pańskim politycznym zwolennikiem. Pod tym względem nie może senior na mnie liczyć. Co się natomiast tyczy spraw osobistych, służę pomocą, dopóki będę z panem, a rozstanę się dopiero wtedy, kiedy schwytemy Landolę.

— Senior Cortejo, co to za człowiek? — zapytał jeden z Meksykanów.

— Myśliwy ze Stanów Zjednoczonych.

— Jak się nazywa?

— Grandepriise.

— Grandepriise? Ach! Znam go. Szkoda, że tak ciemno.

— Skąd mnie pan zna?

— Mój stryj opowiadał o panu. Czy zna pan doktora Hilario z Santa Jaga? Jestem jego bratankiem, nazywam się Manfredo.

— Czy go znam? Przecież uratował mi życie!

— No właśnie. Był pan wówczas na łowach czy w podróży i przybył do Santa Jaga chory i osłabiony.

— Chwyła mnie febra. Senior Hilario zaopiekował się mną, leczył i pielęgnował. Gdyby nie on, umarłbym. Jeśli pan jest jego bratankiem, to musimy zostać przyjaciółmi.

Kiedy znaleźli się już w jaskini i rozsiedli wygodnie Cortejo zawołał:

— Tracę już cierpliwość! Na miłość boską, mówcie wreszcie, co się zdarzyło w hacjendzie!

— Napadli na nią Indianie — odpowiedział Manfredo.

— A wy uciekaliście zamiast walczyć?

— O, nie! Broniliśmy się do ostatka, ale mieli przewagę liczebną. Było ich przeszło tysiąc. I zdobyli hacjendę.

— O Boże, gdzie moja córka?

— Kto to może wiedzieć? Czerwoni zwalili się tak nieoczekiwanie, że każdy z nas myślał o własnej skórze.

— Co za nieszczęście! Jacy to Indianie? Apacze?

— Nie. Słyszałem, jak jeden z nich nazwał siebie Miksteką.

— Muszę wiedzieć, co się stało z moją córką! Wcześniej nigdzie się stąd nie ruszę.

— Uspokój się, senior — powiedział Grandepriise — Mikstekowie nie są tak okrutni jak Apacze i Komańcze. O ile ich znam, nie zabijają kobiet.

— Mimo to muszę się dowiedzieć, co z Josefą! Ale jak to zrobić? Ja sam nie mogę się pokazać w hacjendzie, a ci dwaj też nie odważą się na powrót.

— Niech pan zostawi to mnie! Umiem szpiegować. Pójdę tam rano. Przede wszystkim jednak chciałbym poznać przyczynę napaści Miksteków na folwark. Czy nie zauważyliście czegoś podejrzanego? — zwrócił się do Meksykanów.

— O, tak! Wczoraj o północy olbrzymi płomień buchnął na pobliskiej górze — oznajmił Manfredo.

— Mógł to być przypadek.

— Nie, to był znak, gdyż zaraz potem podobne płomienie rozpały się w innych miejscach.

— Należy więc mniemać, że Mikstekowie zwołali się, aby wypędzić z kraju wrogów Juareza. Kto był ich przywódcą?

— Nie wiemy — odpowiedzieli chórem.

— Czy nie widzieliście wśród nich białego?

— Owszem, nawet dwóch. Zjawili się u nas wcześniej. Oświadczyli w strażnicy, że chcą się rozmówić z senioritą Josefą. Nie chciano ich wpuścić, ale jeden powalił komendanta, po czym obaj udali się do seniority. Wkrótce usłyszeliśmy wystrzał i równocześnie rozległo się dokoła straszliwe wycie. Indianie natarli ze wszystkich stron.

— Ilu ludzi było w izbie wartowniczej?

— Przeszło dwudziestu.

— Aż tylu? I pozwolili, aby dwaj przybysze napadli na komendanta?

— Łatwo teraz panu kpić. Ale gdyby ich pan zobaczył! Nie powiedzieli, kim są. Podawali się za wysłańców czy sprzymierzeńców seniora Corteja. Używali rozkazującego tonu.

— Sądząc z tego, co wiem, tylko senior Cortejo mógł rozkazywać w hacjendzie.

— No tak. Ale myśleliśmy, że jeden z tych ludzi to Pantera Południa, sprzymierzeniec seniora.

— Przecież wiedzieliście, że Pantera Południa jest Indianinem.

— Kto w takiej chwili mógł pamiętać o wszystkim!

— Opisz tego człowieka!

Gdy Meksykanin mówił, Grandepriise słuchał uważnie i kiwał

głową.

— Takiego właśnie człowieka — powiedział — potężnie zbudowanego, z długą brodą i ubranego oraz uzbrojonego podobnie, spotkałem obok Juareza nad rzeką Sabinas.

— Jak się nazywał? — zapytał Cortejo.

— Nie wiem. Ale Juarez zdawał się go bardzo poważać. Cortejo był coraz bardziej niespokojny.

— Czy nie powiedziałaś — spytał Manfreda — że w pokoju mojej córki padł strzał?

— Tak.

— Święta Panienko! Zastrzelono ją! A ja...

— Nie sądzę — przerwał mu Grandepriese. — Gdy tylko padł strzał, rozpoczął się atak. No więc strzał był sygnałem do walki. Nie powinien się pan lękać o życie córki.

— W takim razie jest w niewoli. Musimy ją uwolnić!

— Może pan liczyć na moją pomoc.

— Czy nie należałoby natychmiast przystąpić do działania?

— Co pan ma na myśli?

— Powiedział pan, że umie szpiegować...

— Bo i umiem. Ale tysiąc Indian obsadziło hacjendę.

— Jutro będzie ich tyle samo. A teraz, w nocy, łatwiej iść na zwiady niż w dzień.

— To się panu tylko zdaje. Czerwoni wciąż jeszcze szukają zbiegów. Jeśli mnie schwytają, będą uważać za jednego z pańskich ludzi i zabiją. Jutro rano zaś, jeśli zbliżę się otwarcie do hacjendy, pomyślą, że jestem Amerykaninem.

— Ale ile złego może się do jutra wydarzyć! Senior Grandepriese, błagam pana na miłość boską, zrób coś, i to jak najprędzej!

— To bardzo niebezpieczne. Gdzie leży ta hacjenda?

— Tam, prosto — wskazał Manfredo.

— Jak to daleko?

— Niespełna pół godziny drogi. Myśliwy namyślał się przez chwilę.

— No dobrze — powiedział. — Idę zaraz.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję! — ucieszył się Cortejo. — Nie pożałuje pan tego!

— Dotrzymaj pan słowa, senior! Przypominam o Landoli. I jeszcze jedno: w ciemnościach niełatwo trafić z powrotem do tej jaskini. Czy zna pan krzyk wielkiej meksykańskiej zaby wodnej?

— Wszyscy znamy.

— Czy ktoś z was potrafi go naśladować?



— Ja — oświadczył kamrat Manfreda.

— A więc jeśli nie znajdę od razu jaskini, wydam taki krzyk, a ty go powtórzysz. Czekajcie na mnie do brzasku, a potem idźcie swoją drogą. Zachowujcie się tylko cicho, bo w okolicy pełno Miksteków. Do widzenia!

Dosiadł konia i znikł w mroku nocy. Gdyby znał czyny Corteja, zapewne nie tak chętnie narażałby dla niego własne życie.

Cortejo i jego ludzie położyli się na ziemi. Manfredo poprosił, by przywódca opowiedział o swoich przeżyciach. Cortejo zgodził się chętnie, ale wiele rzeczy zmilczał. Na przykład to, że wyprawa nad Rio Grande del Norte skończyła się fiaskiem i pochłonęła wiele ofiar. Wyjawiał tylko to, co uważał za stosowne: że oddział ukrył się nad rzeką, aby oczekiwać zdobyczy — przybędzie, niestety później, niż się spodziewano — a on sam udał się w drogę powrotną, ponieważ uważał, że jego obecność w hacjendzie jest konieczna. Po drodze wpadł w ręce Apaczów i został ranny.

Ta zmyślona opowieść znalazła wiarę u słuchaczy.

— Ale co teraz zrobimy? — dopytywali. — Hacjenda przepadła.

— Odbijemy ją! Zapewne wielu zbiegło. Nie tylko wy dwaj.

— Wątpię. Kto nie zdołał uciec od razu, ten na pewno zginął.

— Zobaczymy. Rankiem się okaże, czy jedynie wy się uratowaliście.

— I co dalej? Hacjendy i tak nie odzyskamy, bo jesteśmy zbyt słabi.

— Nie wiadomo, czy wszyscy Mikstekowie tutaj zostaną.

— Na pewno, jeśli, jak powiedział Amerykanin, są stronnikami Juareza.

— My też niebawem będziemy silniejsi. Moi ludzie bez przerwy werbują ochotników j przysyłają z południa.

— Nie znajdą nas. Albo pomyślą, że jesteśmy w hacjendzie i wpadną wprost w ręce Miksteków.

— Możemy temu przeszkodzić, jeśli będziemy ich oczekiwać w jakimś odpowiednim miejscu.

— Pod wałami hacjendy?

— Nie, to zbyt ryzykowne.

— Uważa pan, że powinniśmy jak bandyci kryć się w lasach?

— Nic innego nam nie pozostaje. Kiedy jednak nabierzemy sił, łatwo zdobędziemy jakieś miasteczko lub może wypędzimy Miksteków z hacjendy.

— Mój plan jest o wiele lepszy — rzekł Manfredo. — Czy stary klasztor delia Barbara leży na naszej drodze?

— Tak. Ale pobliskie miasto Santa Jaga opowiedziało się za prezydentem Juarezem. Wypędzą nas albo, co gorsza, wezmą do niewoli i wydadzą Juarezowi.

— Tak rzeczywiście by się stało, gdybyśmy zatrzymali się w tym mieście. Ale klasztor jest poza nim. Zamiast nadstawiać głowy w Santa Jaga, niepostrzeżenie prześlizgnijmy się do klasztoru.

— To chyba niemożliwe!

— Wprost przeciwnie. Mój stryj Hilario pełni tam funkcję ordynatora. W klasztorze bowiem mieści się obecnie szpital i zakład dla obłąkanych. Stryj nienawidzi Juareza i przyjmie pana z radością. W budynkach jest tyle tajemnych zakamarków i korytarzy, że będziemy tam czuć się całkiem bezpieczni.

— Czy inni lekarze bądź mieszkańcy znają te tajemnice?

— Nie, tylko mój stryj.

— To byłoby dla nas bardzo wygodne. Zastanowię się nad tym planem. Teraz odpoczniemy. Nie wiemy, co nam przyniesie najbliższy dzień. Prześpijcie się, ja będę czuwał.

Zapadło głębokie milczenie. Cortejo wstał z ziemi i chodził po jaskini tam i z powrotem. Jego wyprawa do Rio Grande, po której sobie tyle obiecywał, spaliła na panewce i on sam wrócił na pół ociemniały. Co więcej, nie znalazł tutaj oczekiwanej przystani, stracił hacjendę i córkę. Pogardzany i wyszydzany, nie wiedział, gdzie się podziać. Co robić?

Po dwóch godzinach usłyszał u wejścia do jaskini lekki szmer. Poderwał się natychmiast i zapytał szeptem, chwytając za broń:

— Kto tam?

— Grandeprise!

— Bogu dzięki! — westchnął z ulgą. — Jak poszło? Jakie ma pan wiadomości?

W tym momencie obaj Meksykanie obudzili się i zaczęli przysłuchiwać rozmowie.

— Wiem, że pańska córka żyje, ale dowiedziałem się także czegoś ważniejszego.

— Najważniejsze jest to, że Josefa żyje! Musi być wolna, choćbym miał narazić życie!

Przyrzekł mi senior, że zrobi wszystko, aby mi pomóc.

— No tak, obiecałem. Nie wiedziałem jednak wtedy, kim są nasi przeciwnicy.

— Przecież to Mikstekowie!

— Gdyby tylko oni... A czy wie pan, kto im przewodzi? Czy słyszał pan o Bawolim Czole?

— On od lat już nie żyje.

— Tak sądzono powszechnie, ale to nieprawda. To on wczoraj wieczorem zwołał Miksteków ognistymi słupami, aby zdobyli hacjendę. Senior Cortejo, ukrywał pan przede

mną bardzo wiele, prawda? Ukrywał pan rzeczy, które uniemożliwiłyby mi zostanie pańskim sojusznikiem.

— O czym pan mówi?

— Uwięził pan seniora Arbelleza w piwnicy i skazał go na śmierć głodową.

— Okłamano pana.

— Nie okłamano mnie. Podśluhałem, gdy o tym mówiono. Dlaczego zabrał pan staremu Arbellezowi jego posiadłość?

— Ponieważ należy ona do mnie. Arbellez sfalszował dokument, który świadczył, że hrabia de Rodriganda podarował mu hacjendę tytułem legatu.

— A co to pana obchodzi? Czy jest pan spadkobiercą hrabiego? Jeśli wiedziałeś, senior, na pewno, że hacjendero jest fałszerzem, powinienesz być donieść o tym władzom, nie zaś stosować przemoc i gwałt, które są zabronione i karalne.

Cortejo powiedział z niecierpliwością w głosie:

— Zwiadowcy często się zdarza, że tylko połowicznie pozna problem, a już wyrabia sobie opinię. Tak jest i z tą sprawą. A i z tym Bawolim Czołem wprowadzono pana w błąd!

— Ależ ja go widziałem! Widziałem u boku człowieka, który swego czasu również znikł.

— Kto to?! — krzyknął Cortejo straciwszy panowanie nad sobą.

— Niedźwiedzie Serce, słynny wódz Apaczów.

— Baniałuki! Widział pan Niedźwiedzie Serce? Czy znał go pan przedtem?

— Nawet bardzo dobrze. Kiedyś, przed laty spotkałem tego Apacza na łowach w górach Sierra Verana w towarzystwie myśliwego Piorunowego Grota, który właściwie nazywał się Unger. Dzisiaj obu poznałem od razu.

— Jak to?

— Bo i Piorunowy Grot przebywa w hacjendzie.

— Chce mi pan wmówić, że umarli zmartwychwstają! Wiem od naocznego świadka, że ci ludzie zginęli.

— Niech pan spoliczkuje tego świadka, gdy go spotka. Nie zapominam tych, których widziałem choćby jeden raz. Zresztą niepodobna nie poznać Sternaua, którego nazywają Władcą Skał.

Cortejo przestraszył się nie na żarty.

— Sternau? — powtórzył szeptem. — Przecież on też nie żyje!

— I to nieprawda. Stał w drzwiach hacjendy i rozmawiał ze starym człowiekiem, którego nazywał hrabią Fernandem.

— Śni się panu chyba, senior, przywidziało się panu! Co też pan wygaduje!

— Nie tak głośno, senior Cortejo. Pański krzyk może tu ściągnąć ludzi z hacjendy.

— Wybacz, senior. Ale nie mogłem się opanować, kiedy usłyszałem, że żyją i cieszą się zdrowiem ci, których od dawna uważałem za nieboszczyków. Co zaś się tyczy hrabiego Fernanda, to na pewno się pan przesłyszał.

Grandeprise wzruszył ramionami.

— Przekazuję, senior, tylko to, co widziałem i słyszałem. Oczy i uszy mam czułe, zapewniam pana. Zauważyłem nawet wielkie podobieństwo między hrabią a pewnym młodym człowiekiem, o ile oczywiście można stwierdzić podobieństwo przy migającym świetle ogniska.

— Jak się nazywa ten młody człowiek?

— Zaraz panu powiem. Traf zdarzył, że przechodził on właśnie obok Sternaua i hrabiego Fernanda. Sternau przywołał go imieniem Mariano.

Cortejo czuł się tak, jakby ziemia się pod nim zapadła. A więc i Mariano ocalał, i ci wszyscy, których uważał za martwych! Dłuższy czas nie mógł wydobyć z siebie słowa. Wreszcie rzekł głucho:

— Opowiadaj pan szczegółowo!

— Zbliżyłem się do hacjendy bez przeszkód. Zostawiłem konia i zacząłem się skradać, choć wielu Miksteków uwijało się dokoła, szukając zbiegłych. Zdołałem dotrzeć do parkanu...

— Co za odwaga! — wykrzyknął z podziwem w głosie Manfredo.

— No, nie taka znów wielka. Kiedy Indianie zbliżyli się do mnie, położyłem się plackiem na ziemi i udawałem nieboszczyka, poległego w bitwie. Długo tak leżałem i podsłuchiwałem rozmowy Miksteków. Dzięki temu dowiedziałem się o obecności w hacjendzie wymienionych osób. Potem widziałem je, jedna po drugiej, przez otwory w parkanie. Przed domem płonęło ognisko, rzucając jasne światło.

Cortejo opanował się już i zapytał:

— I powiada pan, że moja córka żyje?

— Tak. Zamknięto ją w piwnicy, w której miał zginąć senior Arbellez. Jutro rano odbędzie się nad nią sąd.

— Niebiosa! Muszę ją uwolnić! Czy nic nie można zrobić, senior Grandeprise?!

— Byłem pewny, że spyta pan mnie o to, że przede wszystkim obchodzi pana los córki. Dlatego odważyłem się na coś więcej. Prześlizgnąłem się przez parkan. Chciałem odszukać loch, w którym umieszczono seniorkę. Wie pan zapewne, że piwnice hacjendy mają

wąskie okienka?

— Wiem. Ale dalej, mów pan dalej! — niecierpliwił się Cortejo.

— Zebrałem kilka małych kamyków i zacząłem pełznąć ku najbliższemu. Kiedy byłem już wystarczająco blisko, rzuciłem kamyk i nadśluchiwałem. Miałem szczęście. Od razu usłyszałem głos kobiety: „O Dios! Czy jest tam kto? Kimkolwiek jesteś, człowieku, błagam o pomoc. Jestem Josefa Cortejo”. Nie odpowiedziałem, gdyż nie chciałem dawać obietnicy, z której nie mógłbym się wywiązać. Poza tym wiedziałem już to, co miałem wiedzieć, i nie powinienem był dłużej czekać. Przeskoczyłem przez parkan i ruszyłem z powrotem. To wszystko.

Słuchacze opowieści Grandepriego byli podnieceni, zwłaszcza Cortejo.

— Jeszcze dziś musimy uwolnić moją córkę! Jutro będzie za późno, gdyż ci ludzie na pewno jej nie oszczędzą, a to z powodów, których nie będę wam teraz tłumaczył. Senior, czy podejmuje się pan uwolnić moją córkę?

Grandepriego popatrzył na niego zdumiony.

— Czy wie pan, czego ode mnie żąda? Tu stawką jest moje życie, a nie wiem, czy pan i pańska córka zasługujecie na to.

— Senior, błagam pana na miłość boską, pomóż jej tylko ten jeden raz, a po królewsku pana wynagrodzę!

— Niech pan nie mówi o pieniądzach! Wie pan przecież, że nie idzie mi o zapłatę. Ale nawet gdybym się zgodził, nie mógłbym wykonać tego sam, muszę mieć pomocnika.

— Powiedz, co mam czynić! Zrobię wszystko!

— Pan? — myśliwy zmierzył Corteja pogardliwym spojrzeniem. — Niestety, pan się tu wcale nie liczy.

— A ja? — zapytał Manfredo. — Znam sztukę podkradania się i chętnie panu pomogę, o ile to się opłaci.

Grandepriego zamyślił się. Jego prawa natura buntowała się przeciw temu przedsięwzięciu, ostrzegał go przed nim głos wewnętrzny. Ale Cortejo tak bardzo nalegał, że w końcu Amerykanin ustąpił.

— No dobrze, spróbujemy. Ale musi pan bezwzględnie się stosować do moich rozkazów.

Cortejo odetchnął. Dobrze ocenił tego myśliwego. Wierzył, że ta ryzykowna wyprawa może mu się udać.

Grandepriego objaśnił im swój plan. Po dokładnym omówieniu wszystkich szczegółów wyruszyli w kierunku hacjendy.

Sytuacja Josefy była nie do pozazdroszczenia. Ze skrępowanymi nogami i rękami leżała w lochu, w którym poprzednio walczył ze śmiercią Arbellez. Przed zamkniętymi drzwiami stali na straży dwaj Mikstekowie. Zakazano im wpuszczać kogokolwiek. Ale obaj Indianie byli w przeciwieństwie do Apaczów i Komanczów na pół ucywilizowani. Czas zaczął im się dłużyć, zatęsknili do towarzystwa przyjaciół. Niby w jakim celu mieliby strzec i tak zamkniętych drzwi? Przecież żaden obcy nie mógłby dostać się na korytarz prowadzący do piwnicy. Przedtem musiałby się przekraść między ogniskami obozu, przez jasno oświetlone wejście do hacjendy. A to było niepodobieństwem. Uważając, że branka jest dostatecznie strzeżona, wyszli po paru godzinach, aby przed bramą pogwarzyć z towarzyszami o zdarzeniach tego dnia.

Około drugiej po północy dwie postacie wynurzyły się zza parkanu i cicho podkraǳły do okienka lochu Josefy. Grandepriise przyłożył usta do okienka i szepnął:

— Seniorka Josefa?

— O Dios! Kto i czego chce?

— Powiedz mi, pani, czy jesteś sama?

— Tak.

— Przyszliśmy uwolnić seniorkę.

— O, Boże! Bodajby to była prawda!

— To prawda. Jestem znajomym pani ojca. On czeka na panią przed hacjendą.

Josefa z trudem pohamowała okrzyk radości.

— Ale w jaki sposób stąd wyjdę?

— Niech seniorita mnie to pozostawi. Czy przy drzwiach stoją wartownicy?

— Było dwóch, ale zdaje się, że odeszli.

— Muszę wiedzieć na pewno. Niech pani łaskawie zapuka do drzwi.

— Jestem związana, ale spróbuję. Nikt się nie odzywa — powiedziała po paru minutach. — Chyba pod drzwiami nie ma nikogo.

— Niech Bogu będą dzięki! Bierzemy się do roboty. Pani zadaniem jest nasłuchiwać u drzwi.

Otwór okienny był zbyt wąski, aby człowiek mógł się tędy przedostać. Musieli nożem usunąć kilka kamieni. Nie było to łatwe, należało przecież unikać najmniejszego hałasu. Po pół godzinie jednak na tyle poszerzyli otwór, że Grandepriise, obwiązany lassem, które trzymał Manfredo, zaczął schodzić do lochu.

Josefa ledwo panowała nad sobą. Czy śmiały czyn się powiedzie? Zapomniała niemal o bólu i liczyła minuty, które wydawały się jej godzinami. Nareszcie na górze przygotowania

dobiegły końca. W lochu ściemniło się na chwilę, po czym cień jakiś ześlizgnął się na ziemię.

— Bez zbytecznych słów, seniorita! Każda chwila droga. Czy jest pani ranna?

— Tak, na pewno mam złamane zębra.

— Czy wytrzyma pani wciąganie do góry?

— Muszę.

— Nie wolno nawet westchnąć! Do dzieła!

Przewiązał łąso pod pachami Josefy i dał umówiony znak. Manfredo ciągnął, a Grandepriś pomagał z dołu. Josefie zdawało się, że wyciągają z jej ciała każdą kosteczkę. Bez jęku wytrzymała straszliwy ból, ale znalazłszy się na górze, zemdląa. łąso opadło po raz drugi i Grandepriś wspiął się szybko po nim.

— Co z seniorita?

— Zemdląa.

— To dobrze. Mniej z nią będzie kłopotu. No, dalej! Mieliśmy tak zadziwiające szczęście, że nie powinniśmy kusić losu.

Wziął omdląa na plecy i pospieszył ku parkanowi. Manfredo przeskoczył pierwszy, Grandepriś podał mu dziewczynę. Potem sam przedostał się na drugą stronę. Nie zauważeni przez nikogo, pospieszyli do Corteja.

Można sobie wyobrazić rozczarowanie i gniew Sternaua oraz jego towarzyszy, gdy nazajutrz stwierdzili ucieczkę Josefy. Najdotkliwiej odczuł to Piorunowy Grot, który pałał pragnieniem zemsty. Kto pomógł dziewczynie? — zastanawiali się. Niektórzy przypuszczali, że Cortejo. Inni natomiast uważali, że ociemniały, nie mógł tu jeszcze przybyć, a tym bardziej uprowadzić córki.

— Nie łammy sobie dłużej głowy tą zagadką — zdecydował Sternau. — Rozwiążemy ją, gdy schwytnamy zbiegów.

Nim wyruszył pościg, pięciu pewnych ludzi, dobrych jeźdźców, wyjechało do Monclovy z raportem do Juareza. Wybrali drogę, na której nie mogli spotkać Francuzów.

Po godzinie siedmiu białych, Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce oraz dziesięciu Indian opuściło hacjendę. Tuż przedtem wódz Miksteków odszukał drugiego wodza swego plemienia.

— Opuzczam hacjendę wraz ze swymi towarzyszami — powiedział. — Mój brat będzie tu zatem wodzem i dowódcą. Niech ochrania Arbelleza i niech przyłączy dziecię Miksteków do oddziału Juareza, kiedy ten przybędzie do hacjendy.

— Dokąd jedzie mój brat?

— Nie wiem.

— Kiedy wróci? — Też nie wiem.

— Czy będą mu towarzyszyć wojownicy?

— Dziesięciu jeźdźców, którzy umieją czytać ślady. Więcej mi nie potrzeba.



## DOKTOR HILARIO

W miasteczku Santa Jaga panował wielki ruch. Przed kilkoma dniami wkroczył tu oddział Francuzów. Przybył z północy bez uzbrojenia i pełnego rynsztunku. Jak się dowiedziano, była to załoga Chihuahua, którą Juarez zmusił do złożenia broni i solennej obietnicy zaprzestania walki przeciw niemu.

Komendant owego oddziału wysłał gońca po instrukcje do głównej kwatery i w Santa Jaga oczekiwał jego powrotu.

Wejście Francuzów nie poruszyło mieszkańców miasteczka, gdyby nie zjawiała się wraz z nimi piękna dama. Gdy tylko się pokazała w miejscowym kościele, wzbudziła zazdrość kobiet, a podziw mężczyzn. Dziwiono się, że zamieszkała nie w samym miasteczku, lecz w starym klasztorze u ordynatora szpitala, powszechnie nie lubianego doktora Hilario.

Był wieczór. Senior Hilario siedział w swojej celi, ślęcząc nad starymi księgami lekarskimi. Pomieszczenie było nader skromnie urządzone. Jedyne, co zwracało uwagę, to liczne klucze, wiszące na ścianach. Doktor był niskim, szczupłym mężczyzną, łysym jak kolano. Zacięty wyraz jego gładko wygolonej twarzy upodabniał go do buldoga. Choć rozpoczął już szósty krzyżyk, wyglądał jeszcze dosyć rześko.

Zapukano cicho do drzwi. Ordynator uśmiechnął się szeroko.

— Proszę wejść! — powiedział, starając się nadać swemu głosowi jak najłagodniejsze brzmienie.

Drzwi otworzyły się i weszła... seniorita Emilia z Chihuahua, tajny agent Juareza.

— Dobry wieczór — powitała gospodarza.

— Dobry wieczór, piękna seniorito — odpowiedział, zamykając księgę i podnosząc się z krzesła.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam panu.

— Pani? Co znowu! W każdej chwili jestem do dyspozycji seniority. Dlatego pozwoliłem sobie zapytać panią, czy zechciałaby wypić ze mną filiżankę czekolady.

— Z ochotą przyjęłam pańskie zaproszenie. Dzięki temu zabiję nudę wieczoru.

— Sama pani sobie winna. Dlaczego zamieszkała pani u mnie, a nie na dole w mieście? Tam nie brak rozrywek.

— Dziękuję za te rozrywki! Rozmowę z doświadczonym, mądrym człowiekiem bardziej cenię niż owe małomiasteczkowe rozrywki.

Usiadła na kanapie.

— Chce pani powiedzieć, że uważa mnie za człowieka o skryzalizowanych poglądach?

— Oczywiście. Nienawidzę wszystkiego, co jest niedowarzone, niepełne, niewyraźne. Nie cenię ludzi, którzy wewnętrznie i zewnętrznie są niedojrzali.

— Ale zapomina pani, że z chwilą kiedy kończy się rozwój człowieka, rozpoczyna się jego upadek.

— Pan to nazywa upadkiem, senior Hilario? Jeśli ktoś traci siły ciała i ducha, świadczy to, że miał je w obfitości.

W tym momencie weszła stara służąca, niosąc czekoladę. Gdy tylko się oddaliła, Hilario napełnił gościowi filiżankę.

— Proszę wypić, seniorita! Po raz pierwszy świadczy mi pani tę grzeczność, dałbym wiele, bym mógł tego szczęścia co dzień dostępować.

— Uważa pan to za szczęście?

— O tak, za największe! Pragnąłbym, aby pani była nie tylko gościem, ale stałą mieszkanką tego domu. Jaka szkoda, że opuści go pani, gdy tylko Francuzi wyjadą z miasta!

— A co mnie oni obchodzą? Hilario nie ukrywał zdumienia.

— Uważają tu powszechnie, że jest pani albo żoną oficera, albo wdową po nim.

Emilia roześmiała się wesoło.

— Czy wyglądam jak stara kobieta lub wdowa?

Oczy doktora obrzuciły jej czarującą postać pożądliwym spojrzeniem.

— Stara? O, seniorita, co też pani mówi! Pokonałaby pani samą boginię Wenus, gdyby śmiała iść z panią w zawody.

— Zbyt wielki komplement przestaje być komplementem, senior.

— Mówię tylko prawdę! — zawołał. — A więc nie jest pani związana z Francuzami... Jednakże jeździ pani z nimi. Dlaczego?

— Gdyż ochraniają mnie i bezpiecznie odwiozą do stolicy. Postanowiłam opuścić Chihuahua i zamieszkać w Meksyku. Ze względu na chaos i niepokój panujący w kraju chętnie skorzystałam z takiej eskorty.

— Nie ma pani krewnych w Chihuahua?

— Nie. Jestem samotna.

— Ale co panią skłoniło do wyjazdu akurat do stolicy? Emilia opuściła powieki i zarumieniła się (była znakomitą aktorką).

— To pytanie wprawia mnie w zakłopotanie, senior — szepnęła.

— Proszę mi wybaczyć. Tak bardzo jednak interesuję się panią, że sądziłem, iż mogę

je zadać.

— Szanuję pana i cenię, dlatego będę wobec seniora szczerą. Każda kobieta źle znosi samotność. Bóg dał nam za zadanie kochać i uszczęśliwiać miłością. A ja nie mogłam niestety spełnić tego zadania.

— Nie kochała pani nigdy? — Hilario przyglądał się jej uważnie.

— Nie — szepnęła jeszcze ciszej, jak gdyby zawstydzona.

— To niemożliwe! Ma pani przecież wszelkie warunki, aby uszczęśliwiać mężczyzn.

— Jednak nie doświadczyłam tego. Dotąd nie poznałam takiego człowieka, o którym mogłabym powiedzieć: „Oto ten, do którego pragnęłabym należeć”. Meksyk jest większy niż Chihuahua, a ja nie zniosę dłużej samotności.

— Chciała więc pani poszukać tam męża? Patrząc mu prosto w oczy, odpowiedziała:

— Nie będę przeczyć. Wyznaję to tylko panu.

— Czy po to musi pani jechać aż do stolicy, seniorita? Czy gdzie indziej nie ma mężczyzn, którzy potrafiliby panią docenić?

— Może pan ma i rację. Ale kto szuka drzewa, idzie do lasu, gdzie jest wiele drzew, a nie w pole, gdzie rosną tylko pojedyncze.

— Jeśli jednak po drodze do lasu spotka drzewo, które mu się spodoba?

— Wówczas zostaje przy nim, czyż nie tak, senior Hilario? Twarz doktora rozjaśniła się.

— Otóż to, seniorita! — przytaknął skwapliwie. — Tylko zachodzi pytanie: jakie zalety i jaki wiek musi czy powinno mieć to drzewo?

— Nie powinno być za młode. Konary zdobią drzewo, a mech dodaje mu poetycznego uroku.

— Seniorita, czy mogę dla pani poszukać takiego?

— Ależ owszem! Wszak będę je mogła przyjąć lub odrzucić.

— Oczywiście — zapewnił, głęboko oddychając. I głosem niemal drżącym dodał: — Takie drzewo rośnie w naszym klasztorze.

— W klasztorze? Nie widziałam tutaj ani jednego.

— Ono stoi przed panią.

Emilia przyjrzała mu się ze zdumieniem, które było szczytem sztuki udawania.

— Myśli pan o sobie, senior? Na Boga, tego się nie spodziewałam!

— Nie spodziewała się pani? Wszak seniorita sama przyrównała do drzewa towarzysza życia, którego szuka. Czy nie zrozumiała mnie pani?

— Oczywiście, że zrozumiałam — uśmiechnęła się. — Chciałby więc pan nim zostać?

— Z rozkoszą! Zrzekłbym się wszystkiego, aby panią uszczęśliwić.

Twarz Emilii spoważniała, przybrała zimny, surowy wyraz.

— Czego by się pan mógł wyrzec, senior?

— Uważa mnie pani za zwyczajnego, ubogiego doktora? Powiedz, czego żądasz od człowieka, do którego chciałabyś należeć?

— Przede wszystkim miłości, prawdziwej, wiernej miłości!

— Tego pani nie zabraknie. Ale czego jeszcze pragniesz?

— Nie jestem wprawdzie bogata, senior, nigdy jednak nie walczyłam z ubóstwem. Chcę mieć pewność, że nie doznam nigdy biedy i niedostatku.

— Mogę panią zapewnić, że jestem bogaty.

— Pan? Bogaty? — Popatrzyła z niedowierzaniem na jego niepozorną postać.

— Nie powinna pani sądzić po moim ubiorze.

— A więc czy mógłby pan tego dowieść? Hilario wbił wzrok w podłogę.

— Tak, mogę — rzekł po chwili zdecydowanym tonem. — Ale muszę mieć pewność, że poślubi mnie pani.

— Mógłbyś pan mieć tę pewność, gdybyś sprostął trzeciemu i ostatniemu warunkowi: mój mąż musi być człowiekiem na stanowisku i to takim człowiekiem, który mi pomoże rozwijać talenty umysłowe. Zamierzam dostać się na dwór cesarski. Wkrótce uzyskam tam wpływy i poważanie i będę mogła wybierać między przednimi ludźmi. Uśmiecha się pan?! Jeśli jesteś znawcą ludzi, to te słowa powinny cię przekonać, że nie fantazuję.

Stała przed nim wysoka, piękna. Młoda kobieta przed małym, brzydkim starcem. A jednak nie stracił kontenansu.

— Poznałem się na pani, seniorita. Odegra pani swoją rolę, jeśli pojedzie do stolicy. Osiągnie pani wpływy i poważanie, gdyż jest seniorita piękna, mądra i wyrachowana. Ale nawet taka jak pani kobieta potrzebuje pomocy i ramienia mężczyzny. Widzę, że godni jesteśmy siebie. Czy chce pani wesprzeć się na moim ramieniu?

Pełnym łagodności i dobroci tonem, jakim mówi się do dzieci, zapytała:

— A więc uważa się pan za mocniejszego ode mnie? Jeśli jednak oceniać zalety pańskiego umysłu miarą stanowiska, to... hm... Niech pan sam dokończy to zdanie!

— A jakie jest pani stanowisko, seniorita?

— Oho, ma pan cięty język — roześmiała się. — Bywają stanowiska i wpływy, o których się nie mówi, senior.

— Święta prawda. A więc milczmy, przynajmniej na razie, także o moim stanowisku i wpływach.

— Jeżeli będziemy o tym milczeć, w jaki sposób dowiedzie pan, że odpowiada moim warunkom?

— O to nietrudno. Jestem gotów dać pani dowód. Ale muszę być pewny dyskrecji.

— Umiem milczeć, senior.

— Proszę więc iść za mną.

Zdjął ze ściany dwa klucze i zapalił małą latarkę. Emilia dobrze przypatrzyła się gwoździom, na których wisały klucze.

Opuściwszy pokój, zeszli po schodach do długiej, niskiej piwnicy. Doktor Hilario otworzył mocne, dębowe drzwi, które prowadziły do następnej. Stamtąd dostali się do wąskiego korytarza, między dwa szeregi niezliczonych drzwi. Odsunął rygiel w jednych i otworzył. Znaleźli się w małej, głuchej celi, ciemnej i dusznej. Wydawało się, że jest wykuta w skale. Jej ściany były pełne rys i szczelin.

— Pusta! — zauważyła Emilia. — Czy tutaj mam znaleźć dowód?

— Owszem. — potwierdził.

Nie spostrzegł, że Emilia śledzi każdy, najmniejszy nawet jego ruch.

Oświetlił latarką jedną ze szczelin. W jej najszersze miejsce wcisnął dłoń. Natychmiast dał się słyszeć lekki szmer. Część ściany ustąpiła i oto stali u progu większej, ciemnej celi. Weszli, nie zamknawszy tajemnego przejścia.

Hilario szedł przodem, a Emilia za nim. Dzięki temu zdołała włożyć palec w tajemniczą rysę i wymacała gruby sztyfcik, który wystawał z kamienia na pół cala.

W celi było wiele stołów, a na nich mnóstwo książek, flaszek, słoików, instrumentów i aparatów, których przeznaczenia nie знаła. Hilario nie zatrzymał się przy nich, tylko szybkim krokiem podszedł do jednej ze ścian i zastukał w nią. Pukanie brzmiało głucho i pusto.

— Za tą ścianą znajduje się dowód, o który pani chodzi.

Emilia z wielką uwagą obserwowała wszystko, co robił. Przybliżył latarkę do ściany i wtedy ujrziała jakieś linie, ostro wyznaczające w murze czworobok.

— To drzwi — wyjaśnił — ale bez zanika. Obracają się na osi środkowej tak, że wystarczy pchnąć jedną połówkę, aby je otworzyć.

Mocno napierał na mur i po chwili tajemnicze drzwi ustąpiły. Powstał wąski otwór wysokości człowieka. Za nim widniała ciemna przestrzeń.

Hilario przecisnął się przez szczelinę, a za nim Emilia. W świetle latarki zobaczyła, że w pomieszczeniu stoi wiele dużych skrzyń i szafka bez zamka. Hilario wyciągnął przednią jej ściankę. W środku było pełno rozmaitych rękopisów.

Doktor odwrócił się do Emilii.

— Seniorita — rzekł poważnym tonem — oto moja najgłębsza tajemnica. Nikt nie wie o niej. Te papiery są tak cenne, że pozwolę pani tylko rzucić na nie okiem.

Emilia drżała z niecierpliwości. To Juarez wysłał ją do klasztoru. Prezydent wiedział to, co niektórzy podejrzewali, że w rękach Hilaria są dokumenty demaskujące wielu wrogów republiki. Musiała je poznać!

— Dowiodę pani — mówił dalej Hilario — że wkrótce nadejdzie czas, kiedy będę mógł ofiarować pani takie stanowisko, jakiego tylko zażadasz.

Wyciągnął z szafy paczkę listów, otwierał jeden po drugim i pokazywał Emilii.

— To moja tajna korespondencja. Czy zna pani te podpisy? Znała je. Były to nazwiska najwybitniejszych polityków i wojskowych w kraju, a także wyższych oficerów armii francuskiej.

— Nie zajmowałam się dotychczas tak żywo polityką, jak zamierzam. Słyszałam tylko o niektórych spośród tych panów.

— Pozna ich pani, jeśli przyjmie moje warunki. Moja wiedza i pani piękność dopełniają się wzajemnie i mogą nas zaprowadzić daleko.

Nie spełni swej misji, jeśli nie pozna treści tych listów! Wyciągnęła rękę.

— Czy mogę przeczytać?

— Niestety, nie może pani — odparł nieco zażenowany.

— Dlaczego? Sądziłam, że będziemy sojusznikami.

— Ale nie jesteśmy jeszcze nimi.

— Mam nadzieję — starała się mówić tonem jak najbardziej obojętnym — że wkrótce zostaniemy.

— Czy rzeczywiście pani tak myśli, seniorka?! — zawołał z radością.

— Tak, kto bowiem obcuje z takimi ludźmi jak pan, ten może liczyć na duże wpływy i wspaniałą przyszłość.

— Przyszłość, powiada pani? Jestem stary!

— Powiedziałam panu, że nie liczę wieku według lat. Dziesięć lat pełnych świetności bardziej mnie pociąga niż zwyczajne życie pięciokrotnie dłuższe.

— To mądrze, seniorita. Więc jest pani przekonana, że potrafię dać jej wpływowe stanowisko?

— Tak. Ale pytanie, w czyjej służbie? Hilario wzruszył ramionami.

— Dobry dyplomata nie myśli o tym, komu służy, lecz o sobie. Pomagam temu, kto

mi najlepiej płaci. Tylko Juarezowi nie chcę służyć. To jego wina, że jeden z moich planów spełził na niczym. Póki żyję, nie uda mu się zostać prezydentem! Przysiągłem to i dotrzymam słowa.

Mówił z goryczą. Wargi mu pociemniały, oczy pałały złością. Widać było, że nie zawaha się przed niczym, byle się zemścić. Odłożył listy do szafy.

— A zatem nie mogę ich jeszcze przeczytać? — zapytała.

— Nie. Zapozna się pani z nimi dopiero jako moja żona.

— Lub co najmniej narzeczona.

— Nie. Zaręczyny można łatwo zerwać, a takie tajemnice powierza się jedynie osobie, z którą się wiąże na zawsze. A teraz dam pani dowód, że jestem bogaty.

Podszedł do skrzyń. Były zamknięte na zamki. Otworzył je. Zawierały cenne ornaty, naczynia sakralne i inne dewocjonalia, wysadzone szlachetnymi kamieniami i zrobione ze szczerzego złota.

— No? — zapytał z dumą.

— Co za bogactwo! To olbrzymi majątek!

— Więcej niż majątek. Ten klasztor był więcej wart niż niejedno księstwo. Gdy władza świecka wzięła go w posiadanie, zostałem panem tych skarbów.

— Jak się to panu udało? Chyba wiedziano o istnieniu kosztowności...

— Wiedziano, owszem — przytaknął z szyderczym uśmiechem — ale osiągnąłem to, co chciałem. W jaki sposób? O tym później. A teraz niech pani powie: jest to bogactwo czy nie?

— Oczywiście, że tak, ale senior nie jest właścicielem tych skarbów. Należą do państwa.

— Do państwa? Proszę się nie ośmieszać! Do kogo należy państwo? Do Juareza, do Pantery Południa, do Maksymiliana Austriackiego czy do Francuzów? Do jednego z nich, do żadnego z nich czy do wszystkich razem? Czym jest w ogóle państwo? Czy

Meksyk jest państwem? Meksyk nie ma władzy, jest siedliskiem anarchii i każdemu wolno wziąć sobie to, co mu wpada do ręki! Emilia zdawała sobie sprawę, że nie może mu się sprzeciwić.

— Nie chcę panu przeczyć — powiedziała ugodowo.

— A więc uważa mnie pani za właściciela tych skarbów?

— Tak.

— A czy pragnie pani zostać ich właścicielką?

Spoglądał na nią wyczekująco. Wzdrygnęła się wewnętrznie. Czyżby miała zostać

żoną tego człowieka? Czy ma wiązać swe młode życie z tym starcem? Dzięki tej ofierze poznałaby wprawdzie sekrety Hilaria, ale czy nie może osiągnąć tego w inny sposób? Znajdzie się chyba wiele możliwości. Trzeba się zastanowić. Należy więc przede wszystkim zyskać na czasie.

— Czy muszę się natychmiast zdecydować? Taki krok wymaga namysłu. Nie może mi pan brać tego za złe.

— Czy ja, który nie powinienem tracić ani dnia życia, mam czternaście lat starać się o panią jak Jakub o Rachelę?

— O, nie! — roześmiała się. — Przez czternaście lat znudziłabym się bardzo. Czy chce mi pan jeszcze coś pokazać?

— Nie, widziała pani wszystko.

— Więc wracajmy.

— A kiedy dostanę odpowiedź?

— Za trzy dni.

— Zgoda! Mam nadzieję, że nie da mi pani kosza.

Wracali tą samą drogą. Emilia i teraz z najwyższą uwagą śledziła każdy ruch starca. Starła się jak najdokładniej wszystko zapamiętać.